

SPOŁECZEŃSTWO

Kiedyś księża rzucali sutannę w tajemnicy. Dziś często robią to publicznie

STR. 10-11

**SPORTOWY 24**

Il Lombardia to był ostatni wyścig Rafała Majki. Kolarz skończył karierę

STR. 19

*dziś* **SPORTOWY24**

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 13.10.2025
Nr 82 (2489)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682



FOT. PAP/EP/PA

Co dalej ze Strefą Gazy?

Przywódcy ponad 20 państw świata, w tym Donald Trump, wezmą udział w szczycie pokojowym dotyczącym sytuacji w Gazie. Do zrujnowanego miasta wracają ludzie STR. 3

POLITYKA

Dwa lata koalicji. Co się udało, a co zostało zawalone?

STR. 6-7

FILM

Reżyser Wojciech Smarzowski o swoim najnowszym filmie

STR. 14-15

KONKURS CHOPINOWSKI

Jak dziś można wychować nowego Chopina?

STR. 8-9

BIAŁORUŚ

Emerytka oskarżona o terroryzm przez białoruski reżim

STR. 13

W piątek magazyn Puls

Tadeusz Płatek
publicysta



CHOPIN, CHOPIN!

To jest świetny film, z wielu powodów. Ma przepiękną scenografię Katarzyny Sobańskiej i Marcela Sławińskiego, którzy odczarowują mit, jakoby dawniej było szaro. Serio - niektórym scenografom zdaje się wydawać, że wszystko, co istniało przed wynalezieniem kolorowej fotografii, było czarno-białe. Tymczasem Paryż, a przynajmniej jego bogaty pierwiastek, był kolorowy, i wynika to choćby z wielu biografii Chopina.

Kolorami mienią się ubrania i twarz Eryka Kulma, która oscyluje między zdrową krwią z mlekiem, a popielato-trupią śmiercią, co go oczywiście w końcu pochłania, jako, że głównym wątkiem filmu jest umieranie w spektakularny sposób.

Zanim to jednak nastąpi, mamy aktorską etiudę Kulma. Jego ojciec był wybitnym perkusistą jazzowym, sam Eryk nie skończył szkoły muzycznej. Miałem więc obawy jak skończy się ten karkołomny pomysł, by wszystkie utwory naprawdę grać, a nie tylko „grać, że się gra”. Bo z grającymi, śpiewającymi i dyrygującymi aktorami jest naprawdę różnie, czego niechlubnym przykładem był choćby Bradley Cooper, „dyrygujący Bernsteinem” czy już w ogóle groteskowy, fatalny Andrzej Seweryn sztywno machający łapami w „Dyrygencie” Andrzeja Wajdy.

Wyobrażam sobie, że Kulm, mógł mieć z tyłu głowy presję, że jednym z poprzednich, filmowych „Chopinów” był Janusz Olejniczak, laureat konkursu Chopinowskiego (tuż przed śmiercią pełnił funkcję konsultanta w „Chopin, Chopin”). Kulm, w jednym z wywiadów powiedział, że zaszył się na kilka miesięcy w Alpach, by godzinami ćwiczyć, i ja myślałem, że ćwiczył będzie proste kawałki i tak to się jakoś ogra. Że reżyser da mu do zagrania wolne preludium, mazurek, no - od biedy nokturn. Gdzie tam! Kulm z grubej rury pojechał: Etiudę a-moll z op. 25 (co niektórzy nazywają „zimowym wiatrem”), etiudę c-moll z op. 10 (którą inni zwą „rewolucyjną”), balladę g-moll i jeszcze kilka innych naprawdę trudnych kawałków. I on to naprawdę znakomicie gra! Jeśli więc komuś dzisiaj można powiedzieć „Bravo!”, to Kulmowi z pewnością. Odważny!

”

Po antyimigranckim marszu Kaczyńskiego czas na kolejne pisowskie protesty: na przykład przeciw drożyznie, przeciw korupcji, w obronie Konstytucji i praw kobiet. Pośmiejemy się razem

premier Donald Tusk na platformie X

● Konkurs chopinowski wkracza w decydującą fazę. Kto według jury najlepiej wypadł w tych pianistycznych igrzyskach?

POKOLENIE BUNTU I ODBUDOWY

Zapytał żonę, jaki prezent chciałaby dostać na rocznicę ślubu. Z głupia frant odpowiedziała, że wyprawę do Japonii. Żartowała.

Tymczasem po trzech miesiącach mąż wręczył jej bilety na samolot. W trzy tygodnie planowali zobaczyć nie tylko najważniejsze wyspy i miasta, ale też japońską prowincję. Przeczytali o Japonii, co się dało, zarezerwowali hoteliki, miejsca w muzeach, restauracjach i Shinkansenach - słynnych pociągach pędzących z szybkością ponad 300 km/h. Zrealizowali plan w 100 proc. Zdumiała ich japońska kuchnia, zachwyliło ascetyczne piękno ogrodów oraz doskonałość pociągów i dworców kolejowych. Zobaczyli Japonię nie tylko od frontu. A przecież - jak 90 proc. Polaków wychowanych jeszcze w PRL - znali tylko baszowy angielski i ani słowa po japońsku.

Bo bohaterowie tej opowieści są ludźmi odważnymi i... zadaniami. Opowiadam o ludziach, których

Liliana Sonik
publicystka



znam od lat, ponieważ ich historię uważam za ciekawą. Oni są ciekawi. Ale to także opowieść o pokoleniu, które - jak to się mówi - wywalczyło wolną Polskę, a potem kolsalną pracą odbudowało z zapaści. Nigdy nie korzystali z żadnych synekur. Choć są wyjątkowi, to przecież są też typowi dla tego dzielnego pokolenia. Może tylko bardziej zdeterminowani i konsekwentni.

Od 20 lat oboje współpracują ze stowarzyszeniem „Krzysiek Pomaga Pomagać”. Nie, nie chodzi o wysłanie przelewu bankowego, choć pewnie to też robią. Stowarzyszenie pomaga młodym ludziom z poważnymi niedowładami po udarze mózgu. Kiedy mają w Krakowie badania, kiedy przyjeżdżają na spotkania, ktoś musi się

nimi zająć. Czasu i rąk do roboty wymaga też organizacja koncertów, aukcji charytatywnych i zawodów. Na Martę i Kubę mogą liczyć.

Sama też korzystałam z ich pomocy. Zanim mnie medycy naprawili, miałam w kilku miejscach pęknięty kręgosłup, a równocześnie chemię, na którą trzeba się było stawiać dwa razy w tygodniu. Każdy wstrząs powodował demoniczne bóle. Wtedy Kuba woził mnie do szpitala swoim starym Citroënem, co miało znaczenie, bo tylko ta marka robiła samochody z zawieszaniem eliminującym drgania na nierównych drogach.

Zastanawiam się, czy taka wierność w przyjaźni i zdolność do poświęcenia komuś własnego czasu jest cechą tego pokolenia. Nie wiem. Ale

już swoista odwaga i upór chyba są. Tak było z wyprawą do Santiago de Compostela. Kiedy ma się 60 lat, przejście pieszo kilkuset kilometrów jest wyzwaniem. Przygotowania zabrały im kilka miesięcy. Początkowo 3 km, a po kilku miesiącach 20 i więcej. Z plecakami tak zaplanowanymi, żeby żadnej zbędnej rzeczy nie taszczyć. Trenowali - czy lało, czy wiało...

Z lekka tylko otartymi stopami stanęli szczęśliwi u stóp katedry z grobem św. Jakuba. Doszli. Nie wiem, jakie prośby nieśli, ale pewnie też szli dziękować za życie ciekawe i satysfakcjonujące, choć momentami bardzo trudne.

A niedawno Kuba odkrył nową pasję: akordeon. Nie wiem, co go skłoniło, żeby zacząć się uczyć gry na akordeonie. Nie dość, że jest w tym dobry, to jeszcze skutecznie przekonał znajomych, że akordeon jest instrumentem szlachetnym i wymagającym. Właśnie wrócili z żoną ze słynnego Międzynarodowego Konkursu Akordeonowego w Castelfidardo.

„NA WIEJSKIEJ” – SERIAL POLSKA

Podczas imprezy Karola Darek z Łukaszem puścili wodze fantazji, ich huczne świętowanie zakończyło się jednak kolejnym skandalem. W czasie zabawy odgrazali się, że kolegów, których nie lubią, „wsadzą” na wiele lat do więzienia. Staszce chcieli dać piątkę, Tomkowi dyche, ale najmocniej dostało się Romkowi, zapowiedzieli mu, że dostanie dwudziestkę.

Nie, to nie jest streszczenie fabuły kolejnego odcinka emitowanego od lat serialu, którego opis można przeczytać w Telemagazynie NTO. To relacja z niedawnych wydarzeń w hotelu poselskim, kiedy znani z zamięłowania do imprez i niestraniący od kontrowersji posłowie ponownie pokazali, że obecność

Marek Mazurkiewicz
publicysta, politolog



w parlamencie traktują przede wszystkim jako dobrą zabawę.

Według doniesień medialnych, w restauracji Nowego Domu Poselskiego, podczas świętowania zaprzysiężenia Karola Nawrockiego, posłowie prawicy - Dariusz Matecki i Łukasz Mejza - mieli kierować w stronę polityków Koalicji Obywatelskiej (Stanisława Gawłowskiego, Tomasza Grodzkiego i Romana Giertycha) prowokacyjne przysięgi. Scena miała zakończyć się interwencją Straży

Marszałkowskiej i sporządzeniem notatki służbowej.

Nie jest to pierwszy raz, kiedy właśnie o tych posłach z PiS-u robi się głośno w kontekście ekscesów w budynkach parlamentu. W ubiegłym roku dali się poznać jako twórcy przysięgówek o Grzegorz Braunie, gdy ten urządził swój żenujący happening z gaśnicą, a także jako miłośnicy nocnych spacerów... po sejmowym dachu.

W komentarzach dotyczących niedawnych wybryków posłów pojawiają się pomysły

na wprowadzenie zakazu sprzedaży alkoholu w Sejmie, ale nie brakuje też głosów broniących obecności „procentów” w parlamencie. Sławomir Mentzen w wywiadzie dla Radia Zet stwierdził bowiem, że alkohol ułatwia rozmowy.

Przykład „imprezowych” posłów pokazuje, że część z nich zupełnie bezceremonialnie podchodzi do misji, jaką powierzyli im wyborcy, i do słów przysięgi, którą ślubowali, obejmując mandat „wybrańców narodu”. Przypomina też, że polityka - zwłaszcza ta prezentowana w parlamencie - coraz częściej przypomina, jak śpiewał Krzysztof Cugowski, film tani klasy „B”, w którym „z dialogów wyszło dno, zero, czyli nic”.

Polska
Poniedziałek, 13.10.2025

AUTOPROMOCJA

0110987190

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Donald Tusk kontra Jarosław Kaczyński. Ostra wymiana zdań na temat migracji

Ściągnąć do Polski rekordową liczbę migrantów, a następnie wezwać do protestu przeciw migracji, potrafi tylko Jarosław Kaczyński - skomentował premier Donald Tusk manifestację PiS

Adam Kiełar

Po antyimigranckim marszu Kaczyńskiego czas na kolejne pisowskie protesty: na przykład przeciw drożyznie, przeciw korupcji, w obronie Konstytucji i praw kobiet - napisał w niedzielę premier Donald Tusk. - Pośmiejemy się razem - dodał.

Szef rządu odniósł się w ten sposób na platformie X do manifestacji, którą w sobotnie popołudnie na placu Zamkowym w Warszawie zorganizowało Prawo i Sprawiedliwość.

Wiec odbył się przeciwko m.in. nielegalnej migracji, paktowi migracyjnemu i umowie handlowej UE z państwami Mercosur.

Prezes PiS Jarosław Kaczyński apelował w swoim przemówieniu o odwołanie rządu i odbudowę „wszystkiego, co rząd zdołał zniszczyć”. Jak stwierdził, polskie finanse publiczne są w stanie klęski, dochodzi do „deptania prawa i Konstytucji”.

- To idzie ku bardzo ciężkiemu kryzysowi albo może nawet całkowitej zagładzie polskiego państwa jako państwa suwerennego - powiedział prezes PiS.

Premier drwi z manifestacji PiS

Sam Tusk, odnosząc się do demonstracji, komentował w sobotę, że „wielki marsz” okazał się fiaskiem, a Kaczyńskiemu „lepiej szło ściąganie migrantów niż manifestantów”.



Sobotnia manifestacja PiS przeciwko migracji nie zgromadziła tłumów, za to spowodowała lawinę politycznych komentarzy

FOT. ADAM JANKOWSKI

Wcześniej pisał też: „Ściągnąć do Polski rekordową liczbę migrantów, a następnie wezwać do protestu przeciw migracji, potrafi tylko Jarosław Kaczyński”.

I zapowiedział, że Polska nie będzie objęta mechanizmem relokacji. „Mówiłem, że nie będzie w Polsce relokacji migrantów i nie będzie! Załatwione. Że uszczelnimy barierę na granicy z Białorusią - i jest to dziś najlepiej strzeżona granica w Europie. Że zaostrzymy przepisy wizowe i azylowe - i Polska stała się wzorem dla innych. Robimy, nie gadamy!” - napisał Donald Tusk na X.

Wpis ten skomentował prezes PiS na wiecu w Warszawie zorganizowanym pod hasłami przeciw nielegalnej migracji

i umowie z Mercosurem. - Dziś Donald Tusk, który nie tak dawno mówił, że trzeba będzie karać Polskę, bo takie jest prawo za to, że nasz rząd potrafił doprowadzić do tego, że ta umowa nie weszła wtedy w życie i trwało to przez wiele lat. Dziś nagle ogłasza, że w przyszłym roku nie będziemy mieli imigracji. Nie dajcie się oszukać, to są stare gry - powiedział Kaczyński. Powtórzył, że „to są gierki, oni mają w tym poparcie Unii Europejskiej”.

- Tak jak mieli, kiedy myśmy rządzili - dodał prezes PiS.

W sobotę Radio RMF FM poinformowało w sobotę rano, powołując się na nieoficjalne informacje, że Polska - ze względu na ogromną liczbę przyjętych uchodźców z Ukra-

iny - ma zostać wyłączona z relokacji migrantów i kontrybucji finansowych unijnego paktu migracyjnego.

W lutym br. premier Donald Tusk po rozmowach z unijnymi komisarzami i szefową Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen zapowiedział, że Polska nie będzie implementowała paktu migracyjnego w sposób, który by spowodował dodatkowe jakiegokolwiek kwoty migrantów w Polsce.

Podkreślał, że Polska, goszcząc blisko dwa miliony uchodźców z Ukrainy, jest państwem w szczególnej sytuacji.

- Cieszę się, że moja argumentacja znalazła słuch i zrozumienie - podkreślił na konferencji prasowej z udziałem szefowej KE. PAP

IZRAEL CZEKA NA ZAKŁADNIKÓW

W poniedziałek w egipskim Szarm el-Szejk odbędzie się szczyt pokojowy poświęcony zakończeniu wojny w Strefie Gazy. Obradom wysokich przedstawicieli ponad 20 państw świata będą przewodniczyć prezydenci Egiptu i USA, Abdel Fatah el-Sisi i Donald Trump

oprac. Karolina Wrońska

Swoją udział w szczycie pokojowym potwierdzili też prezydent Francji Emmanuel Macron, premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer i sekretarz generalny ONZ Antonio Guterres. Jak informują izraelskie media, w spotkaniu nie wezmą udziału przedstawiciele Izraela i Hamasu.

Zawieszenie broni formalnie weszło w życie w piątek w południe, gdy wojska izraelskie wycofały się z części Strefy Gazy.

Od tego momentu Hamas ma trzy doby na uwolnienie 20 żyjących zakładników i wydanie ciał kolejnych 28. Izrael ma w zamian zwolnić 250 Palestyńczyków skazanych na dożywotnie pozbawienie wolności i ok. 1700 mieszkańców Strefy Gazy zatrzymanych po wybuchu wojny dwa lata temu.

Izraelskie wojsko kontroluje teraz około połowy Strefy Gazy, wcześniej zajmowało ok. 75

proc. Żołnierze nadal kontrolują cały pas przygraniczny, w tym przez granicę z Egiptem, zajmując też północ Strefy Gazy, w tym miasta Bajt Lahija i Bajt Hanoun. Wycofali się jednak z większości obleganego miasta Gazy i jego okolic oraz z części miast Rafah i Chan Junus na południu.

Palestyńczycy powracali w sobotę do zrujnowanego miasta Gazy, które od połowy września było celem ofensywy lądowej Izraela. Przed rozpoczęciem inwazji w Gazie mieszkało ok. miliona osób. Armia poleciła im opuszczenie miasta, co zrobiło 700-800 tys. osób. Według kontrolowanych przez Hamas władz lokalnych do soboty wróciło 500 tys. z nich.

W Izraelu odbyły się w sobotę wieczorem demonstracje na rzecz uwolnienia zakładników. W Tel Awiwie zebrało się ponad pół miliona ludzi. Manifestanci dziękowali Trumpowi

za doprowadzenie do rozejmu. Kraj z niecierpliwością czeka na uwolnienie zakładników.

Na wiecu w Tel Awiwie przemawiali m.in. wysłannicy Trumpa, Steve Witkoff i Jared Kushner, uznawani za autorów porozumienia.

Wcześniej w sobotę odwiedzili Strefę Gazy w towarzystwie admirała Bradleya Coopera, który kieruje dowództwem amerykańskich sił zbrojnych w regionie.

Według lokalnych mediów do Izraela zaczyna przybywać kontyngent ok. 200 amerykańskich żołnierzy, który ma być częścią międzynarodowych sił nadzorujących rozejm w Strefie Gazy.

Przyjęty przez Izrael i Hamas pierwszy etap amerykańskiego planu pokojowego zakłada uwolnienie wszystkich zakładników - żywych i martwych - w zamian za 250 Palestyńczy-

ków skazanych na dożywotnie pozbawienie wolności i 1700 mieszkańców Strefy Gazy zatrzymanych po wybuchu wojny dwa lata temu.

Według władz izraelskich w Strefie Gazy pozostaje 20 żywych zakładników i ciała 28 porwanych. Umowa zakłada przekazanie uprowadzonych i ciał za jednym razem.

Hamas sygnalizował wcześniej, że nie może zlokalizować wszystkich zwłok, co może doprowadzić do opóźnień. W porozumieniu zapisano, że w takim wypadku Hamas ma poinformować mediatorów i Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża (ICRC) o znanych mu miejscach złożenia zwłok, by wszystkie mogły być ekshumowane i sprowadzone do Izraela.

Uwolnienie więźniów ma być koordynowane przez ICRC. Ich przekazanie ma się odbyć bez publicznych ceremonii i relacji



Palestyńczycy wracają do swoich zrujnowanych domów w Strefie Gazy

FOT. PAP/EPA

medialnych. Podczas ostatniego zawieszenia broni zimą br. Hamas uwalniał porwanych podczas publicznych zgromadzeń, które w Izraelu były odbierane jako propagandowe widowiska,

które miały upokorzyć zakładników.

Według władz Izraela w grupie 20 pozostających przy życiu porwanych są sami mężczyźni porwani 7 października 2023 r. Niektórzy z nich to żołnierze izraelskiej armii, inni zostali uprowadzeni z przygranicznych kibuców lub odbywającego się w pobliżu Strefy Gazy festiwalu muzycznego.

Podczas ataku 7 października Hamas i inne palestyńskie bojówki porwały z Izraela w sumie 251 osób.

Hamas uwolnił 138 z nich, głównie w ramach wymian towarzyszących rozejmowi (jesienią 2023 r. i zimą 2025 r.), ośmiu odbiła izraelska armia, odzyskano ciała 58 zakładników. Hamas uwolnił też dwóch Izraelczyków porwanych przed atakiem i wydał ciało jednego uprowadzonego wcześniej żołnierza. PAP

Minister Żurek nie odpuszcza. I apeluje do prezydenta

Waldemar Żurek przedstawił właśnie projekt ustawy praworządnościowej, która porządkuje sytuację w wymiarze sprawiedliwości. To kolejne zmiany, które wprowadza. Przy silnym oporze drugiej strony, bo z Kancelarii Prezydenta słysząc o „ostentacyjnym akcie bezprawia”, a prezes PiS mówi wprost, że „Żurek jest człowiekiem, który powinien się znaleźć w państwowych zakładach karnych”

Dorota Kowalska



Minister Żurek zapewnił, że projekt jest zgodny z Konstytucją RP i prawem UE

Jak zapowiedział, tak zrobił. Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek przedstawił właśnie projekt tak zwanej ustawy praworządnościowej. Ustawa nosi tytuł: „Ustawa o przywróceniu prawa do niezależnego i bezstronnego sądu ustanowionego na podstawie prawa przez uregulowanie skutków uchwał Krajowej Rady Sądownictwa podjętych w latach 2018-2025”.

Żurek zapewnił, że jest on zgodny z Konstytucją RP i prawem UE oraz uwzględnia stanowisko Komisji Weneckiej.

- Chcemy jak najszybciej przywrócić prawidłowe działanie wymiaru sprawiedliwości - stwierdził szef resortu sprawiedliwości.

Jak przekazał, „tą ustawą likwidujemy ryzyko odszkodowań z tytułu orzekania przez neosędziów i mówimy tutaj oczywiście o Sądzie Najwyższym”.

- Ustawa oczywiście dotyczy także neosędziów w sądach powszechnych, bo wiemy, że to jest również problem - zaznaczył.

Dodał jednak, że „nie będzie stosów dla czarownic” i problem związany z neosędziami resort chce rozwiązać w sposób zbiorowy. - Jeżeli będziemy dokonywać indywidualnej oceny każdego neosędziego, to (...) wymiar sprawiedliwości zajmie się tylko sobą i nie będzie czasu na sądownie spraw obywateli. Jest to po prostu niewykonalne - ocenił.

Cele ustawy? Przywrócenie prawa obywatela do niezależnego i bezstronnego sądu, przełamanie patowej sytuacji w sądownictwie, zakończenie destrukcyjnego podziału w sądownictwie, podniesienie efektywności sądownictwa z korzyścią dla obywateli, likwidacja ryzyka odszkodowań z tytułu orzekania przez neosędziów, wreszcie - przywrócenie niezależnego sądownictwa w Polsce respektowanego w strukturach europejskich i otwarcie drogi do uzdrowienia KRS.

Na stronie resortu opublikowano najważniejsze założenia projektu. I tak, osoby bezpośrednio po Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury (KSSiP), byli referendarze i asystenci zachowują status sędziego ex lege, pomimo że ich powołanie odbyło się przy udziale neoKRS, sędziowie legalnie powołani (nie przy udziale neoKRS), którzy następnie uzyskali awans przy udziale neoKRS, wracają do macierzystych sądów, ale otrzymują dwuletnią delegację w miejscu obecnego orzekania, aby mogli dokończyć prowadzone sprawy. Te osoby biorą udział w powtórzonych konkursach przed przyszłą, legalną KRS. Dalej, ustawa zakłada, że neosędziowie nie mogą orzekać w Sądzie Najwyższym - ich akty powołania zostają uznane za nieważne i nie mają możliwości pozostania na delegacji w SN, prokuratorzy wracają zaś do prokuratury na swoje wcześniejsze sta-

nowiska. Nowa ustawa znosi Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, zakłada też utrzymanie w mocy orzeczeń dotychczas wydanych z udziałem nieprawidłowo powołanych sędziów, umożliwiając wzruszenie takich orzeczeń tylko stronom, które w trakcie postępowania konsekwentnie kwestionowały legalność składu orzekającego. - Proszę pana prezydenta i jego doradców, aby bardzo dobrze przyjrzyli się tej ustawie, bo ona ma charakter promiślowy - zaapelował na koniec minister Żurek dodając, że nie chciałby, aby ustawa trafiła do kosza.

Na odpowiedź nie czekał długo. Szef prezydenckiej kancelarii Zbigniew Bogucki na platformie X napisał, że „nie ma dziś takiej mocy - ani rząd, ani parlament - by zmusić Prezydenta Rzeczypospolitej Karola Nawrockiego do podpisania ustawy, które będą złe dla Polski”.

„To, co mówi minister Żurek, pokazuje jasno: chce korzystać z tych samych przepisów, ale tylko wtedy, gdy „to

będą ich ludzie” - np. ludzie środowiska Iustitia, z którym sam minister był związany” - ocenił. „Wtedy, jego zdaniem, wszystko ma być już „w porządku”, bo to oni będą decydować, kto zasiada w Krajowej Radzie Sądownictwa. To jest sposób myślenia, który z państwem prawa nie ma nic wspólnego” - dodał Bogucki.

Bogucki stwierdził też, że jeśli „minister Żurek naprawdę chce coś zmienić w przepisach dotyczących KRS - niech zrobi to zgodnie z konstytucyjną procedurą: przeprowadzi ustawę przez Sejm i Senat, złoży ją na biurku Prezydenta, uzyska jego podpis i opublikuje w Dzienniku Ustaw. A nie obchodzi prawo w sposób brutalny i ostentacyjny, wydając rozporządzenia skrajnie niekonstytucyjne”.

Sam prezydent pytany w piątek podczas wizyty w Estonii o propozycję ministra Żurka zaznaczył, że najpierw musi się z nią dokładnie zapoznać.

- Ale to, co zrobił ostatnio minister Żurek, nie napawa optymizmem - mówił Nawrocki.

Jego zdaniem, szef MS brutalnie łamie prawo i konstytucję.

- Propozycje pana ministra Żurka po tym, co wydarzyło się w zeszłym tygodniu, oczywiście będą analizowane w Kancelarii Prezydenta, natomiast ostatnie postępowania pana ministra Żurka nie pokazały, że chciałby być partnerem do dyskusji z prezydentem Polski - stwierdził prezydent.

Wcześniej, pod koniec września, opublikowano rozporządzenia ministra sprawiedliwości nowelizujące regulamin urzędowania sądów.

Nowelizacja odnosi się między innymi do kwestii funkcjonowania systemu losowego przydziału spraw sędziom (SLPS). Zmiana została skrytykowana przez polityków Prawa i Sprawiedliwości. Ci wskazywali między innymi na dodany do regulaminu zapis stanowiący, że „przewodniczący wydziału może zdecydować w przypadku potrzeby poprawy efektywności pracy wydziału, że sprawy rozpoznawane w składzie trzech sędziów SLPS przydzieli referen-

tom, a pozostałych dwóch członków składu wyznaczy przewodniczący wydziału według zasad określonych przez prezesa sądu po zasięgnięciu opinii kolegium właściwego sądu”.

Prezydent ocenił wówczas tę zmianę rozporządzenia jako „ostentacyjny akt bezprawia” mający „umożliwić ręczne sterowanie doborem sędziów pod polityczne potrzeby i oczekiwania rządzących”.

Na temat samego ministra sprawiedliwości wypowiedział się także w rozmowie z dziennikarzami w Sejmie Jarosław Kaczyński. Jak zwykle, nie przebiegał w słowach.

- Waldemar Żurek jest człowiekiem, który powinien się znaleźć, i to na bardzo długie lata, w państwowych zakładach karnych. I wierzę w to, że się znajdzie - powiedział prezes PiS. - Bo łamię prawo w sposób tak bezczelny, jak jeszcze dotąd nie łamało - dodał.

Żurek robi jednak swoje. Ma za sobą rząd i Donalda Tuska. Decydując się na przyjęcie teki ministra sprawiedliwości, wiele za-

ryzykował. Porzucił sędziowską tożsamość, bo aktywny sędzia nie może być ministrem. Tym samym stracił immunitet i prawo do stanu spoczynku, czyli sędziowskiej emerytury. Podjął się zadania niezwykle trudnego. Bo takim jest uporządkowanie wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że wybory prezydenckie wygrał Karol Nawrocki, a to prezydent musi podpisać ustawy, które odwracają reformy wprowadzone przez Zbigniewa Ziobrę. Ale Żurek przedkłada projekt za projektem i zdaje się nie przejmować krytyką płynącą ze strony opozycji czy Pałacu Prezydenckiego.

- Na ten moment nie widzę żadnych podstaw, żeby się wycofywać - tak zareagował na oświadczenie, w którym Karol Nawrocki nazwał jego rozporządzenie „aktem bezprawia”.

Kilka razy ostro odpowiedział byłemu ministrowi sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobrę zapewniając go, że nie cofnie się, nie podda. Mówi wprost: „Zamierzam skruszyć beton i nie zawaham się sięgnąć w tym celu po młot pneumatyczny”.

Przez osiem lat przyglądał się zmianom, jakie w wymiarze sprawiedliwości wprowadzał Zbigniew Ziobro i mocno przeciw nim protestował. Może dlatego, uznawany jest za jednego z najbardziej prześladowanych sędziów w Polsce. Ale też za czasów ministra Ziobry, Żurkowi w ponad 20 postępowaniach postawiono blisko 70 zarzutów. Postępowania zostały umorzone po zmianie władzy. Użytkownicy grup Kasta i Antykasta, czyli sędziowie związani z ministrem Ziobrą i bohaterowie afer hejterskiej też go nie oszczędzali.

Donald Tusk nie bez powodu postawił właśnie na Żurka, na prawa wymiaru sprawiedliwości była jednym z głównych celów, jakie postawiła przed sobą koalicja 15 października.

- Umówiliśmy się z panem Waldemarem Żurkiem, że dzisiaj Polska potrzebuje silnego prokuratora generalnego. Nie chodzi tylko o zmiany, które będą trudne do przeprowadzenia ze względu na siłę opozycji i prezydenta, chodzi o to, żeby wykonywać władzę prokuratora generalnego, żeby tam, gdzie to jest pożądane, potrzebne i możliwe przyspieszyć kwestię rozliczeń. Nie ma świętych krów i będziemy trzymać kciuki za pana ministra Żurka w jego walce - stwierdził premier Donald Tusk.

To, jak widać, będzie twarda walka, ale jak mówią w Sejmie, Żurek jest niesamowicie zdeterminowany. Jeśli ktoś ma sobie poradzić, to on, bo „najlepsi są goście bez wyjścia”. Ale prawda jest taka, że obecny szef MS postawił wszystko na jedną kartę i nie ma nic do stracenia. Jarosław Kaczyński już zapowiedział, gdzie widziałby go najchętniej, więc Żurek wie, co będzie, kiedy PiS wróci do władzy. PAP

FOT. PAP/PRZEMISŁAW PIĄTKOWSKI

MOTO
BOHATEROWIE
OTOMOTO



AUTOSTANY.OTOMOTO.PL

**AUTOSTANY TO MIĘDZYNARODOWA FIRMA
LOGISTYCZNO-DORADCZA, KTÓRA SPROWADZA POJAZDY
Z USA, KANADY, JAPONII I DUBAJU.**

*Kompleksowo zajmujemy się procesem – od wyszukania auta,
przez transport, po dostawę pod wskazany adres i załatwienie
niezbędnych formalności, w tym rejestracji pojazdu.*

*Dzięki doświadczeniu i sprawdzonym partnerom na całym
świecie zapewniamy bezpieczny i dobrze zaplanowany proces,
w którym możesz zaoszczędzić nawet
kilkadziesiąt tysięcy złotych.*

Zadzwoń i dowiedz się więcej +48 664 462 142

Koalicja 15 października może być zadowolona z dwóch lat swoich rządów?

W życiu społecznym, w polityce bardzo niebezpiecznie jest być zadowolonym, bo często pycha kroczy przed upadkiem. Poza tym życie społeczne i polityka pełne są paradoksów. Można rządzić źle, a mieć na przykład sprzyjające czynniki obiektywne - doświadczały tego i Platforma, i PiS na swojej drodze przez ostatnie 20 lat - i tym ratować społeczną popularność. I odwrotnie - można być w większości resortów w miarę sprawnym funkcjonalnie, ale trafić na czas na przykład zewnętrznych koniunktur, które zawsze mają wpływ na gospodarkę, zwłaszcza w dobie globalizacji. Można powiedzieć, że rząd Prawa i Sprawiedliwości miał dużo szczęścia i starał się temu szczęściu dopomóc. Natomiast w przypadku tego rządu można powiedzieć, że ma bardzo dużo pecha i nie zawsze zdołał temu ograniczeniu nieszczęścia zapobiegać.

A skąd się ten pech brał?

Przed wszystkim pamiętajmy o tym, że czas dobrej koniunktury gospodarczej na świecie w poprzedniej dekadzie był sztucznie wytworzony przez pompowanie pieniędzy w światowej gospodarce po kryzysie lat 2008-2009. Ten czas się skończył. Różnego rodzaju strukturalne problemy wychodzą na wierzch. Rządy Trumpa są tego najlepszym przykładem. To dotyczy także Polski, bo byliśmy beneficjentem sztucznego nakręcania wzrostu gospodarczego, utrzymania równowagi budżetowych dodrukowywaniem pieniędzy. Korzystaliśmy z tego, co się działo w świecie zachodnim, w tym z rozwoju całej Unii. Druga rzecz to oczywiście wojna. Wojna, która w Polsce jest postrzegana przede wszystkim przez wymiar militarny i polityczny, a zapomina się o innych aspektach. Tymczasem ona pod każdym względem była dla gospodarki europejskiej zabójcza i bardzo niekorzystna dla Polski.

Co się temu rządowi udało?

Powiedziałbym, że mimo to, iż minister Domański niekoniecznie ma najlepszą prasę, to utrzymanie przez tak długi czas w okresie cyklu kampanii wyborczych względnej równowagi budżetowej - a przynajmniej powszechnego przeświadczenia o takiej równowadze - było na swój sposób sukcesem. To na pewno powinniśmy wymienić na pierwszym miejscu. Dalej: zapewne musielibyśmy wskazać reformy, za którymi stała lewica, jak chociażby wolna Wigilia. Ona wychodzi naprzeciw duchowi czasu i w dobie automatyzacji, robotyzacji gospodarki, w dobie sztucznej inteligencji, ogra-

Niektóre działania Szymona Hołowni w czasie kampanii i sytuacja tuż po wyborach prezydenckich nawet najwytrwalszych zwolenników koalicji rządzącej musiały przekonać o tym, że dzieje się w niej coś niepokojącego - mówi prof. Rafał Chwedoruk, politolog, komentator polityczny

Dorota Kowalska



Prof. Chwedoruk: Wyraźnie widać, że Platforma z Tuskiem na czele jest partią, która może zyskać wyborców głównie kosztem innych podmiotów koalicyjnych

PROF. RAFAŁ CHWEDORUK: NAJWIĘCEJ WYZWAŃ DOSTARCZYŁ KOALICJI SZYMON HOŁOWNIA

nicznej podaży rąk do pracy w Polsce, a także faktu, że jesteśmy najbardziej zapracowanymi i przepracowanymi społeczeństwem Europy, jest czymś dyskusyjnym o skróceniu czasu pracy, co wiąże się z globalnym wyzwaniem związanym z przemianami technologicznymi. No i renta wdowia, która też jest pewnego rodzaju symbolem, bo wiąże się z problemami starzenia się społeczeństwa i z kwestią realnego równouprawnienia kobiet w życiu społecznym. Więc te reformy należałoby wpisać po stronie plusów tego rządu. Po trzecie, choć tu oczywiście musielibyśmy jeszcze bardziej zerknąć

w cząstkowe dane, ale udało się generalnie poradzić sobie z problemem powodzi. On miał oczywiście charakter lokalny, ale mógłby skutkować na przykład paniką moralną. Więc wydaje się, że pod tym względem jakoś sobie z tym zjawiskiem poradzono.

A co się rządowi Donalda Tuska nie udało?

Jeśli spojrzymy na to, co się nie udało, to oczywiście musimy pamiętać o tym, że jesteśmy w cieniu wyborów prezydenckich i można powiedzieć, że skoro rząd przegrał te wybory, a kandydat największej partii koalicji rządzącej był ich absolutnym faworytem, to być

może powinno się mówić niemal wyłącznie o niepowodzeniach. Myślę, że niewykorzystaną szansą tego rządu i jednocześnie miejscem wielu porażek była polityka zagraniczna.

Panie profesorze, mówi się, że bardzo wielu reform ten rząd nie przeprowadził, bo to rząd koalicyjny o bardzo szerokim spektrum światopoglądowym - mamy w nim i konserwatywnych często polityków PSL-u, i lewicę. To był największy problem tego rządu?

Tak, chociaż ja bym go nie ograniczał do kwestii partyjnych. Problem tego rządu ma swoje prądy w tym, że stoi za nim

autentycznie szeroka koalicja wielu różnych grup społecznych, które często mają sprzeczne ze sobą interesy, nie tylko poglądy, bo rzeczywiście ideologiczne kwestie w dużym stopniu są pochodną sprzeczności w świecie elit społecznych i wśród samych polityków. Natomiast coż może łączyć bogatego biznesmena, gracza giełdowego z nauczycielem w prowincjonalnej szkole? Tylko to, że z różnych powodów jeden i drugi statystycznie częściej nie jest wyborcą PiS-u, niż nim jest. Coż może łączyć mieszkańca popegeerowskich terenów na Ziemiach Odzyskanych z mieszkańcem krakowskich Bronowic, poznańskiego

Grunwaldu czy innej względnie zamożnej dzielnicy dużego miasta? Stąd polityka rządu jest nieustannym kluczeniem pomiędzy owymi interesami. Nawet jeśli mówimy o kwestiach łowiectwa na przykład, to nie jest tylko tak, że zakaz polowań, czy ich ograniczenie, wiąże się wyłącznie z ideologią, bo przecież ktoś na takim zakazie zyska, a ktoś straci. Świetnie obrazuje to kwestia godzin handlu alkoholem, która rozegrała się na poziomie samorządowym, ale szybko wykroczyła poza ten poziom. Z jednej strony pojawiły się interesy biznesu alkoholowego, z drugiej strony naruszone poczucie bezpieczeństwa bardzo różnych grup społecznych, w tym także grupy wielkomiejskiej, klasy średniej, która jak najbardziej stanowi zaplecze tego rządu. I to jest czynnik obiektywny, nad którym ten rząd nie mógł przejść do porządku dziennego przy dyskusjach o wielu reformach. To, moim zdaniem, czynnik kluczowy, paraliżujący możliwości dalej idących reform: sprzeczne oczekiwania różnych grup społecznych. Jeśli wspomnieliśmy pani o porządku ideologicznym, to ten rząd jest rozpięty gdzieś pomiędzy duchem Ryszarda Petru a ministrem Dziemianowicz-Bąk.

Właśnie: 15 października 2023 roku do urn poszły kobiety i poszli młodzi ludzie. Większości oczekiwania, jakie kobiety wiązały z nowym rządem, chociażby tych związanych z aborcją, prawami kobiet, związkami partnerskimi - niczego z tych spraw ekipie Donalda Tuska nie udało się załatwić. To prawda, nie udało się załatwić. Natomiast warto pamiętać, że z powodu wojen kulturowych nikt wyborów w Polsce nie przegrał ani nie wygra. One muszą nałożyć się w czasie na inne konteksty. Sam bunt przeciwko zastrzeżeniu prawa antyaborcyjnego w czasie rządów PiS-u nie wystarczyłby jeszcze do zakończenia w kolejnych wyborach rządów tej partii, gdyby nie wielomiesięczna dyskusja na temat inflacji i jej skutków, gdyby nie wpływ wojny na zachowania niektórych grup wyborców. Analogicznie - warto zwrócić uwagę, że Rafał Trzaskowski, choć przegrał wybory, to dostał tyle głosów, ile mniej więcej spodziewano się, że dostanie. W tym także zaznaczała się przewaga kobiet wśród głoszących na niego, więc niekoniecznie kwestia aborcji odegrała pierwszoplanową rolę przy tych wyborach. Myślę, że tak samo zmiany konturu dyskursu, ograniczenie konserwatywnej narracji i jakaś tam nadzieja na to, że po ewentualnym zwycięstwie kandydata koalicji rządzącej to się zmieni, miało tutaj pewne znaczenie. Natomiast w istocie to, co dużo ciekawsze, dotyczyło młodych

ludzi. Albowiem w II turze wynik wyborów wśród najmłodszych roczników - to oczywiście często nie są już te same grupy młodych ludzi, co poprzednio, tylko nowi wyborcy, którzy nabywali prawa wyborcze, stanowią tutaj istotny procent - ten wynik się zmienił.

Dlaczego? Młodzi są rozczarowani rządami Koalicji 15 października?

Trudno powiedzieć, czy są rozczarowani, ponieważ można się domyslać, że przeciwko rządowi głosowali raczej ci, którzy trudno sobie wyobrazić jako zwolenników tego rządu. Do tego przyczyniło się - i tu wielką rolę odegrał sztab PiS-u - wiele drobnych, cząstkowych spraw.

Mówi się, że porażką tego rządu była kwestia komunikacji. Ten rząd uważał, że jak zrobi coś dobrze, to wszyscy to zauważą, w przeciwnieństwie do rządu Zjednoczonej Prawicy, który każdy swój sukces ogłaszał na konferencjach, na spotach. Czy rzeczywiście zawiodła trochę przez te dwa lata komunikacja ze społeczeństwem?

Jeśli spojrzymy sobie na wyniki wyborów prezydenckich, to w istocie temu rządowi zaszkodził brak komunikacji, ale brak komunikacji publicznej, wykluczenie transportowe całych regionów Polski. Im dalej od wielkich miast, tym większe problemy...

Ale ja mówię o innej komunikacji...

Doskonale rozumiem. To jest najprostsze wyjaśnienie: niedostatecznie żarliwie głosiliśmy prawdę i dlatego prawda nie dotarła do mas. To jest tak naprawdę ucieczka od problemu. Przeświadczenie o tym, że a priori wszystko robiło się dobrze, tylko nie było rzecznika prasowego rządu i z tego powodu przegraliśmy wybory prezydenckie. Myślę, że to jest absolutne uproszczenie sprawy, ucieczka od odpowiedzialności. Do tego można jeszcze dodać wpływ w modnych w Polsce spiskowych teorii, trolli internetowych, Putina. Takie uniwersalne wyjaśnienia, które nic nie wyjaśniają, a tylko komplikują zmierzanie się z trudną prawdą.

Nie do końca się zgadzam. W Rumunii I turę wyborów prezydenckich wygrał człowiek obecny wyłącznie na Tik-Toku, popierany przez Putina. Powiedziałbym tak, ostatecznie to nie Janusz Korwin-Mikke od wielu lat jest prezydentem Polski, tylko politycy Platformy albo PiS-u. W zasadzie każdy z nich: i Nawrocki, i Duda, Komorowski, wcześniej Lech Kaczyński, nie byli wirtuozami social mediów. To jest bardzo ważny, coraz ważniejszy element polityki, ale uznanie, że to

on decyduje, jest co najmniej naiwne. Główny nurt koalicji rządzącej, środowiska liberalne powinny raczej odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego po raz kolejny zdarzyło się w Polsce to samo.

To znaczy?

Nastąpiło pospolite ruszenie przeciwko kandydatowi obozu liberalnego. Tak było w 2005 roku z Donaldem Tuskiem, który w zasadzie w II turze wyborów prezydenckich, których był faworytem, pozostał sam. Samoobrona wystąpiła przeciwko niemu, ówczesne SLD skrętnie milczało w tej sprawie. Tak samo Bronisław Komorowski w swoich drugich wyborach, po I turze był w zasadzie znokautowany. Teraz w zupełnie innej konfiguracji ten scenariusz znowu się powtarza. Nastąpiła mobilizacja takich grup społecznych, które są trudno mobilizowane, które rzadko pojawiają się gremialnie przy urnach wyborczych. Pojawiały się jednak przy tych urnach z negatywną motywacją. Ci ludzie nie głosowali w dużym stopniu na Karola Nawrockiego, głosowali przeciwko kandydatowi Platformy, jakby się on nie nazywał. I myślę, że zamiast opowiadać sobie o tym, czy powinien być rzecznik, czy nie, czy trzeba było aktywniej, weselej, albo bardziej patetycznie przemawiać w mediach, może warto byłoby się zastanowić nad źródłami takiej gwałtownie narosłej mobilizacji bardzo różnych grup społecznych, nie tylko elektoratu PiS-u i tych, którzy zdążyli od PiS-u odejść.

A pana zdaniem, skąd się ta mobilizacja bierze?

Myślę, że ona ma kilka różnych przyczyn. Pierwsza oczywiście wiąże się z tym, że istotna część polskich środowisk politycznych i biznesowych wciąż żyje w latach 90. Wiele głosów stamtąd dobiegających odbiega od sposobu myślenia Polaków o świecie, o gospodarce, o polityce społecznej. Warto zwrócić uwagę, że w czasie faktycznej kampanii prezydenckiej różne grupy lobbystyczne nawoływały w mediach do podniesienia wieku emerytalnego. Trudno sobie wyobrazić bardziej efektywne kopanie dołków pod kimkolwiek w polityce. Rząd nie potrafił także być konsekwentny w sprawie PiS-owskich inwestycji bez względu na to, czy uważał te inwestycje za trafione, czy za nietrafione. Można było odnieść wrażenie, że jednego dnia był „za”, drugiego dnia „przeciw”, tak było chociażby z CPK. Wcześniej w kampanii parlamentarnej zwracano uwagę na różne dysfunkcje tej inwestycji, niebezpieczeństwa z nią związane, a później, kiedy przyszło co do czego - gwałtownie zmieniono zdanie. A to jest coś więcej niż tylko kwestia ko-

munikacji. Być może to wiąże się także ze stosunkami międzynarodowymi, ale odnoszę wrażenie, że tu też kompletnie pokpiono sprawę. Wreszcie - 100 konkretów jako hasło. To było 100 drobnych, małych problemów, które przed tą koalicją wyrastały i które eksplodowały. I one złożyły się, a nie jedno wydarzenie, jeden czynnik, na klęskę wyborczą.

Ale przecież nie można dwóch lat rządów Koalicji 15 października oceniać wyłącznie przez pryzmat przegranych wyborów prezydenckich!

Nie można, ale tak się dzieje. W istotnym stopniu sytuacja, w której Rada Ministrów sprawuje rządy w okresie wyborów samorządowych, europejskich i prezydenckich, jest sama w sobie determinantem. Żaden rząd nie może od tego abstrahować. Co więcej, istotnym czynnikiem porażki Rafała Trzaskowskiego było to, że nie przedstawiono opinii publicznej, jaki prezydent Warszawy przyjął model relacji z rządem. To znaczy, czy jest kimś, kto żyruje politykę tego rządu, czy też jest czelwikiem ulepionym z innej gliny. A że nie można tych kwestii oderwać, pokazuje nadaktywność Donalda Tuska w wyborach prezydenckich: od przymuszania w Platformie nikomu niepotrzebnych praw wyborów, o których wiadomo było z góry, jak się zakończy, po kwestię słynnego wystąpienia telewizyjnego przed II turą. Więc nie sposób byłoby oderwać rządzenia od wyborów. Oczywiście w każdym z resortów, jeśli rozebralibyśmy na części pierwsze zaprowadzone przez nie działania, znajdziemy różne rzeczy, które mogą pozwolić danego ministra chwalić albo ganić. Natomiast to nie przeczy temu, że całościowy obraz musiał być skorelowany z tym, co się dzieje w bieżącej polityce.

Jak bardzo tej koalicji zaszkodziły konflikty wewnątrz niej samej i ambicje poszczególnych polityków, że wspomnę chociażby Szymona Hołownię.

W oczywisty sposób takie konflikty szkodzą każdej koalicji, choć umiejętnie rozgrywane mogłyby być też instrumentem utrzymywania przy sobie poparcia różnych grup wyborców, właśnie grup często o sprzecznych poglądach czy interesach. Myślę, że to jednak nie one były samym w sobie głównym problemem, natomiast najwięcej wyzwań dostarczył Szymon Hołownia. Opozycyjność PSL-u wobec rządów, w których ludowcy zasiadają, jest tradycją, mała partia musi pokazywać swoją odrębność. Lewica nie forsowała na siłę swoich postulatów, nie zyskała na tym sondażowo, ale per saldo stała się podmiotem numer dwa w tej koalicji. Paradoksalnie wygrała rozgrywkę wewnątrz Koalicji 15

października. Natomiast niektóre działania Szymona Hołowni w czasie kampanii, do czego miał prawo, bo był samodzielnym kandydatem, miały znaczenie dla walki wyborczej. Sprawa Końskich była czymś, co wpłynęło na opinię publiczną, co zostało zauważone. To była sytuacja, w której pomysły sztabu Rafała Trzaskowskiego na rozegranie tej debaty runęły w gruzy, a tym, który stanowił spiritus movens kontry wobec kandydata PO, okazał się być Szymon Hołownia. No i przede wszystkim sytuacja tuż po wyborach prezydenckich, działania marszałka Sejmu, nawet najwytrwalszych zwolenników koalicji rządzącej musiały przekonać o tym, że dzieje się w niej coś niepokojącego. Skutki stopniowego rozpadu Polski 2050 - bo to, co obserwujemy, to jej rozpad - uderzyły w istocie w całą koalicję i pokazały, że jest w jakimś sensie w kryzysie. Chociaż tak naprawdę kryzys dotyczy tak na serio jednego z kilku podmiotów tej koalicji. Nie potrafiono jednak temu kryzysowi zapobiec, ani bardziej asertywną postawą głównego nurtu koalicji wobec Polski 2050, ani takim ułożeniem stosunków, które pozwoliłoby tej formacji przetrwać i czekać na lepsze czasy, zapewne na liście któregoś z koalicjantów.

Co Koalicja 15 października powinna zrobić, na czym się skupić przez najbliższe dwa lata, żeby marzyć o wygranych wyborach za dwa lata?

Nie ma prostego remedium. Bardzo wiele kwestii pozostaje determinowanych przez czynniki, na które rząd ma wpływ ograniczony, a czasami żadnego. Pierwsza sprawa to oczywiście zakończenie wojny, a z całą pewnością niewypchnięcie Polski w trwający konflikt zbrojny. Zakończenie takiej wojny siłą rzeczy będzie musiało wiązać się z przyływem społecznego optymizmu. Negatywne skutki nowej rzeczywistości ekonomicznej zaczynają się ujawniać w dłuższym horyzoncie czasowym. Tak więc myślę, że pierwsza rzecz to sprzyjanie temu, by jak najszybciej zapanował na Starym Kontynencie pokój. Druga rzecz to stabilizacja poziomu życia codziennego. Różnie z tym bywa, wyzwani nie ubędzie, a raczej przybędzie w wyniku skomplikowanej sytuacji międzynarodowej, w wyniku ekonomicznej wojny Europy ze Stanami Zjednoczonymi, bo tak to trzeba nazwać. Nie można też udawać, że nie ma zadłużenia państwa. Więc ustabilizowanie poziomu życia wśród kluczowych grup elektoralnych tej koalicji jest absolutnym warunkiem na cokolwiek. Po trzecie - manifestacje sprawczości w jakikolwiek sposób. Tu, gdzie można to zrobić drogą pozastawową, rząd powinien szcze-

gólnie się mobilizować, uczynić z czegoś symbol nowych czasów. Właśnie dlatego choćby koniec wojny byłby bardzo potrzebny, mógłby stworzyć przestrzeń dla ukształtowania nowej legitymizacji tego rządu, bo jak widać ta dotychczasowa nie pozwala przekroczyć pewnej bariery poparcia, a przede wszystkim nie pozwala zdemonizować drugiej strony.

I co jeszcze?

Po czwarte - rząd powinien dążyć do tego na miarę swoich możliwości, żeby pokazać, że wie, dokąd idzie, a opozycja nie wie, dokąd idzie, ponieważ jest wewnętrznie podzielona i wręcz wewnętrznie sprzeczna. Przedstawić takie projekty ustaw, które mogłyby na przykład dzielić PiS i Konfederację między sobą. No i ostatnia rzecz - trudno sobie wyobrazić, by koalicja mogła stworzyć większość po kolejnych wyborach, jeśli jej twarzą mają być ci politycy, którzy teraz są twarzą rządu, a więc Donald Tusk i Radosław Sikorski. Platforma Obywatelska musi powoli szukać polityków i polityczek młodszej generacji, którzy pokażą, że kolejna zmiana rządu nie będzie zmianą Donalda Tuska na zastępcę Donalda Tuska. I niewiele z tego będzie wynikać, tak jak niegdyś, kiedy Donalda Tuska zastąpiła Ewa Kopacz. Wcześniej czy później w sytuacji, w której starsi obywatele są podzieleni od lat w podobny sposób, co pokazała I tura wyborów prezydenckich, rząd musi walczyć o ludzi w wieku młodszym i średnim i przede wszystkim o najmłodszych. Ich nie będzie w strukturze społecznej przybawało, ale tutaj rezerwy wydają się być znaczące. I stąd

prócz korekt w treści rządzenia, bardzo ważne będzie też to, kto będzie o tym komunikował. To oczywiście nie jest kwestia możliwa do realizacji w momencie, dwa, może nawet w pół roku byłoby trudno taką zmianę przeprowadzić, ale jej nieuchronność zdaje się powoli docierać do rządzących.

Przez te dwa najbliższe lata Donald Tusk powinien zostać w fotelu premiera?

Powiem: Platforma jako partia nie ma złych notowań. Ściga się z PiS-em mimo porażki w wyborach prezydenckich, ale bardzo wyraźnie widać, że Platforma z Tuskiem na czele jest partią, która może zyskać wyborców głównie kosztem innych podmiotów koalicyjnych. Dobre wyniki Platformy wynikają w różnym stopniu z tego, że odzyskała elektorat od rozpadającej się Trzeciej Drogi. Jednak sytuacja, w której obecność Donalda Tuska w tak eksponowanej pozycji zmobilizowała przeciwko Platformie tylu wyborców, także wyborców najmłodszych, którzy nie pamiętają Tuska sprzed 15 czy 20 lat, pokazuje, że ten polityk zawsze będzie miał krąg wiernych wyznawców, jednak równoległe będzie budził bardzo negatywne emocje. Bardzo trudno będzie te emocje wygaszczyć.

To powinien zostać na stanowisku premiera do wyborów parlamentarnych czy nie?

Jeśli w ciągu kilku miesięcy nie dojdzie do gwałtownych zmian czynników strukturalnych, które na przykład spowodowałyby utratę części poparcia przez Konfederację, to taka zmiana będzie nieuchronna.

REKLAMA

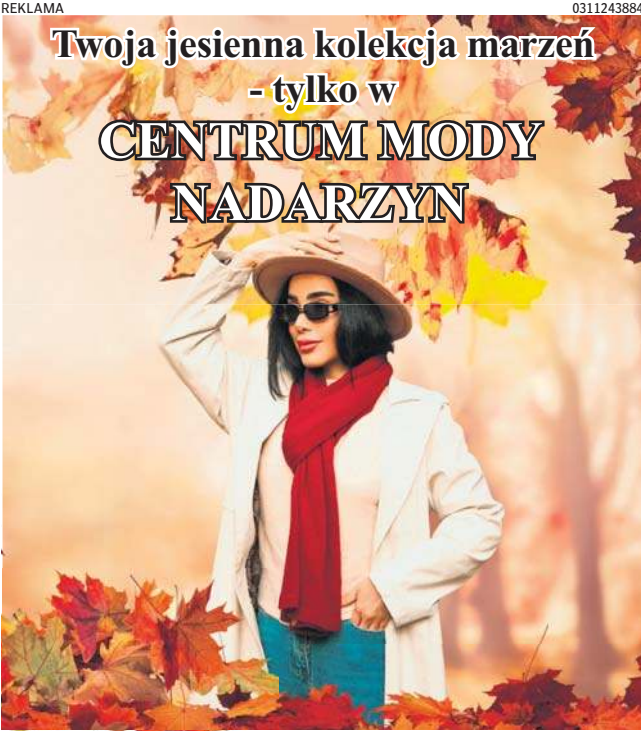
0311243884

Tvoja jesienna kolekcja marzeń

- tylko w

CENTRUM MODY

NADARZYN



Czynne w każdej
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy



Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

eprasa.pl 3f8659a183

UCZEŃ MUSI TRAFIĆ NA SWOJEGO NAUCZYCIELA. I ODWROTNIE

Olga Łazarska – znakomita pianistka, pedagog i dyrektorka krakowskiej PSM II stopnia im. Żeleńskiego – opowiada, jak kształci muzyczne talenty i zdradza, ile czasu trzeba poświęcić na ćwiczenia, by znaleźć się w gronie uczestników Konkursu Chopinowskiego

Anna Piątkowska

Co Pani sądzi o tej edycji Konkursu Chopinowskiego?
Nie będę oryginalna i powiem to samo, co inni komentatorzy: poziom konkursu jest ekstremalnie wysoki. Wszyscy uczestnicy znakomicie grają na fortepianie, zdecydowana większość nie ma problemu z prezentowaniem się na estradzie, co jest godne podziwu. Trzeba się bardzo wsłuchać, żeby zauważyć minimalne niedociągnięcia. Spodziewaliśmy się, że poziom nas oszołomi i tak się dzieje. Wspaniale się tego słucha, trudno oderwać się od spektaklu, jaki pianiści nam fundują.

Jak więc z tak świetnego grona wybrać zwycięzców?
Nie wiem, na szczęście nie muszę tego wiedzieć.

Zdecyduje bardziej fenomenalna interpretacja czy potknięcia innych?

Jury jest bardzo liczne, być może właśnie dlatego, by udało się jakąś średnią z tego wydobyć. Jakikolwiek nie zapadłby werdykt, będą osoby, które absolutnie powinny się dostać do kolejnych etapów, ale się nie dostały. Wielcy przegrani są zawsze, tym razem jednak, przy bardzo wysokim poziomie, będzie ich dużo.

Ma Pani faworyta?

Na tym etapie nie (rozma- wiamy w trakcie pierwszych przesłuchań - przyp. red.), ale jest już co najmniej pięć osób, które absolutnie widzę w finale i nie wyobrażam sobie, żeby się do niego nie dostały. W niedzielę grała Japonka Shiori Kuwahara, której gry słuchało się jak koncertu, a nie wystąpienia konkursowego. Cała jej postawa wyrażała spokój i pewność, że wychodzi zagrać dla ludzi. Konkurs był w tle. Wspaniale się jej słuchało. Natomiast jeśli chodzi o zwycięzców, podobno wygra Azjata i jeden Polak znajdzie się w finale. Ale to wróżenie z fusów. Na pewno po pierwszym etapie trudno cokolwiek przewidzieć.

Dokument Jakuba Piątka „Pianoforte” pokazuje kon-



Jeśli o randze nauczyciela świadczą sukcesy uczniów, to Olga Łazarska jest w czołówce polskich pedagogów

kurs od kulis, mówi o tym, że technika i umiejętności to jedno, ale niezwykle ważna jest też psychika.

Trzeźwa, dobrze myśląca głowa to podstawowa kwestia. Technika w bardzo dużej mierze jest od niej uzależniona.

Bywa, że ktoś jest świetny technicznie, ale psychika nie pozwala na wejście na wysoki poziom?

Bywa, ale dziś nad kwestią psychiki pracuje się od samego początku. Liczba konkursów dla dzieci i młodzieży jest ogromna, to hartuje, daje estradową pewność. Dawniej nie było aż tak wielu konkursów i możliwości prezentowania się na estradzie, może dlatego trema częściej „zjadała”

uczestników. Dziś coraz częściej nawet na egzaminach wstępnych obserwuję już tę estradową pewność, nie ma sytuacji, by trema tak paraliżowała, że nie jest się w stanie zagrać. Nad tym pracuje się przez całe lata, a dla osób wybitnie uzdolnionych to chleb powszedni. W przypadku Konkursu Chopinowskiego może być trudniej, bo ranga wydarzenia jest większa, ale dla nich wszystkich to jest tysięczne wyjście na scenę. Na tym polega ich praca. Tam nie ma debiutantów.

Zuzanna Sejbuk, Pani uczennica, która stanęła w konkursowe szranki w tej edycji, w jednym z wywiadów mówi o tym, jak ważny jest choćby komfortowy strój: sukienka

niekrępująca ruchów, spięte włosy, które nie zdekcentrują. Z kolei regulamin dla słuchaczy w Filharmonii Narodowej zabrania np. otwierania butelek czy wyłuskiwania gumy do żucia z opakowania. Takie kwestie mogą wpłynąć na to, jak artysta zaprezentuje się i w efekcie zaważyć o sukcesie?

Komfort podczas występu jest nie do przecenienia. A jeśli chodzi o rozpraszacze, oni się uczą tego, by ich nie rozpraszaly czynniki zewnętrzne. Zdarza się, że na widowni ktoś nie wyłączy telefonu, spadnie numer - takie sytuacje nie mogą zepsuć występu, ale wiele zależy od tego, jak bardzo dana osoba potrafi się wyłączyć. Na tym etapie, na jakim są uczestnicy Konkursu Chopinowskiego, doskonale potrafią grać po ciemku, gdy struna się zerwie. Trochę przypomina to pracę chirurga - kiedy prowadzi operację, nic nie może go rozproszyć. Zresztą prowadzono badania porównujące koncentrację chirurga i muzyka grającego na ważnym wydarzeniu - stopień koncentracji jest podobny.

Można mówić, że grają też dla przyjemności?

Tak, inaczej byłoby to bezcelowe. Muzyk musi lubić kontakt z publicznością, musi chcieć zaprezentować komuś to, czego się nauczył. Ale estrada to magia i po jakimś czasie trudno bez takich występów żyć.

Padają głosy, że trzynastoro reprezentantów Polski w konkursie to mało.

Nie, patrząc na reprezentację całego świata nie jest źle. Najwięcej jest oczywiście Azjatów, ale jeśli 40 mln Chińczyków gra na fortepianie - tytu, ilu mieszkańców ma cały nasz kraj - to nie ma się co dziwić takiej reprezentacji w konkursie.

Rzeczywiście, w konkursie od lat jest ogromna reprezentacja Azjatów. Czują Chopina bardziej niż inni muzycy?

Od wielu lat młodzi muzycy z Azji są kształceni przez Europejczyków, więc ta muzyka na pewno jest bardzo obecna w tej części świata. Inna kwestia, że oni reprezentują swój kraj, ale w wielu przypadkach

uczą się i mieszkają w Ameryce czy Europie, także w Polsce - w tym konkursie są też takie osoby. Poza tym, w tych najzdolniejszych są inwestowane ogromne pieniądze. Azjaci są też bardzo pokorni i przyzwyczajeni do systematycznej pracy. Nie usłyszysz od nich, że stracili dzieciństwo, bo musieli ćwiczyć. Tak przygotowani przyjeżdżają do Europy, w dodatku ze świetną znajomością języka. Dobrze by było, by w naszym systemie edukacji była chociaż możliwość, by tych zdolnych odciążyć trochę, jeśli chodzi o edukację ogólnokształcącą.

Ile godzin trzeba ćwiczyć, by osiągnąć poziom, który pozwala na udział w Konkursie Chopinowskim?

Robiono badania - 10 lat systematycznej, niemal codziennej pracy przy instrumencie czyni ze zdolnego dziecka profesjonalnego pianistę.

Granie od rana do wieczora?

Nie. Ćwiczenie dostosowane jest do wieku i możliwości. Małe dziecko nie wysiedzi przy instrumencie dłużej niż godzinę, starsze już 3-4, na studiach znacznie więcej. 10 lat ćwiczenia systematycznego, na miarę możliwości, czyni profesjonalistą.

Muzycy często wspominają dzieciństwo spędzone przy instrumencie, podczas gdy ich rówieśnicy grali w piłkę.

Dla wielu moich uczniów granie jest formą odpoczynku. Czasami trzeba grać to, co trzeba przerobić, i pewnie jest to trudne, ale uczniowie grają też to, co lubią, improwizują. Jeśli chce się uczestniczyć w takim konkursie, jak Chopinowski, to na którymś etapie życia trzeba podjąć decyzję o ćwiczeniu przez kilka godzin dziennie. Nie ma innego wyjścia. Fortepian jest zaborczy.

Uczestnicy Konkursu Chopinowskiego to poziom profesjonalny czy wyższy? Wyższy.

Czyli więcej niż 10 lat ćwiczeń?

DZIECKO, KTÓRE SIĘ UCZY GRAĆ, NA POCZĄTKU W SWOIM PEDAGOGU MA PRZYJACIELA, POTEM INSTRUKTORA, A NA KOŃCU MISTRZA

Więcej i inaczej, ale nie jest to regułą. W konkursie występują nawet 16-letni uczestnicy z Chin, ale oni ćwiczą podobno od 3. roku życia.

Trzeba mieć jakieś predyspozycje, np. długie palce?

Muzyka, jak żadna inna dziedziina, wymaga predyspozycji. Duży potencjał to podstawowa sprawa. Podobnie jest choćby w koszykówce – ten kto ma 2 m wzrostu, ma inne możliwości, niż ktoś, kto ma 1,60 cm. Ale jak się ma 1,80, to można grać w kosza, wymaga to jednak większego wysiłku. Dla pianisty duża, dobrze ukształtowana ręka bywa pomocna, ale jeśli tego nie ma, to nie jest koniec świata – są ćwiczenia, dzięki którym można to nadrobić. Rękę ćwiczy się od samego początku w zależności od tego, jak jest zbudowana.

Wykształciła Pani wielu wybitnych pianistów. To m.in. Julia Kociuban, Szymon Nehring, Jakub Kuszlik, Aleksandra Dąbek czy startująca obecnie w konkursie Zuzanna Sejbuk. Ma Pani dobrą rękę. Co to konkretnie oznacza?

Trzeba mieć dużo czasu, ponieważ te najzdolniejsze dzieci realizują inny program niż założenia programowe na ich poziomie, one grają pozycje repertuarowe takie jak na Konkursie Chopinowskim. Żeby opracować taki program, potrzeba czasu, na tym etapie także mojego czasu dla nich. Nauczyciel jest im wówczas bardzo potrzebny.

Potrzeba też cierpliwości?

Dla tych szczególnie uzdolnionych nie, oni się sami gamą. Raczej czujności i wychodzenia im naprzeciw. Małego człowieka trzeba tak ukształtować, by grał na miarę dorosłego muzyka, choć jest na zupełnie innym poziomie rozwoju emocjonalnego. Tak bywa z reguły, że talent i zdolności muzyczne wyprzedzają etap emocjonalny przypisany danemu wiekowi.

Jest Pani trochę jak psycholog Adama Małysza?

Jestem. I dobrze, jak się udaje. Ale nieraz sama się gryzę tym, że powinnam coś inaczej powiedzieć, żeby nie zdemotywoać wrażliwej natury dziecka. Nie można przecież powiedzieć, że ktoś źle gra. Trzeba tak poprowadzić, by dziecko poszło tam, gdzie chcemy.

O tym, jak ważny dla pianisty jest nauczyciel, świadczy

zwyczaj informowania, z czyjej klasy jest muzyk. To satysfakcja dla Pani?

Oczywiście, bardzo duża satysfakcja. Nazwiska uczniów w ważnych konkursach są też potwierdzeniem, że dobrze wykonuje się swoją pracę.

Pani uczy swoją autorską metodą. Na czym ona polega?

Każdy z nas tak uczy, to wypadkowa mojego sposobu uczenia i możliwości, predyspozycji, zdolności, wrażliwości ucznia. Dobrze jest, jak uczeń trafia na taką osobę, która to widzi, docenia, potrafi rozwinąć i nauczyć tego, czego mu brakuje. Mówi się, że uczeń musi trafić na swojego nauczyciela i odwrotnie. To prawda. Ale zdarzają się też decyzje nietrafione, takie wypadki przy pracy.

To znaczy?

Utwór źle został dobrany czy nie sprawdził się mój sposób wpływnięcia na ucznia, żeby lepiej pracował. Coraz rzadziej się to zdarza, ale bywało.

A zdarza się tak, że wie Pani, że tego ucznia nie będzie w stanie poprowadzić, albo na jakimś etapie trzeba go pokierować gdzieś indziej?

Tak, i dobrze jest, jak nauczyciel jest sobie w stanie sam to powiedzieć. Nie chodzi nawet o to, że razem nic już nie osiągniemy, ale jest potrzeba, żeby powiał świeży wiatr. Trzeba też pamiętać, że ci uczniowie się zmieniają. Kiedy trafia do mnie 13-latek, jest dzieckiem zupełnie innym niż kiedy ma 18 lat. Uwielbiam obserwować to, jak się zmieniają fizycznie, mentalnie, kiedy się kształtują.

Dzwonią po latach, żeby pytać, konsultować?

Dzwonią. Ktoś powiedział, że dziecko, które uczy się grać, na początku w swoim pedagogu ma przyjaciela, potem instruktora, a na końcu mistrza. Najwięcej czasu przypada na ten czas bycia instruktorem. Przyjaciół potrzebny jest, by wprowadzić dziecko w świat muzyki, mistrz dostaje już ukształtowaną bazę. Nikt z nas, pedagogów, nie jest przyjacielem, instruktorem i mistrzem w jednej osobie. To jest też odpowiedź na wcześniejsze pytanie – przychodzi czas, kiedy kończy się jeden etap i uczeń powinien iść dalej.

Jak Pani odkryła talent do nauczania?

Trudno powiedzieć. Lubię młodziem, lubię widzieć, jak

pod wpływem mojej jednej uwagi zmienia się cały ogłód utworu. Sprawia mi ogromną przyjemność, kiedy uczennica mówi: „Pani to zawsze znajduje sposób”. Sama miałam trudną edukację licealną, absolutnie niesatysfakcjonującą, może dlatego podświadomie chciałam, by w tym okresie dojrzewania, także muzycznego, towarzyszyć moim uczniom.

Wróćmy do Konkursu Chopinowskiego. Co daje wygrana?

Otwiera świat, daje sławę. Każdy wie, kim jest Bruce Liu, zwycięzca poprzedniego konkursu. Ale już samo uczestnictwo daje bardzo dużo. Z Akademii Muzycznej w Krakowie do konkursu zakwalifikowało się trzech studentów i już dzięki temu wyróżniają się na tle innych pianistów. Z całej Polski jest trzynastka, która musiała przejść eliminacje, żeby się do tej drużyny dostać. To jest wyróżnienie.

Mają otwarte drzwi do kariery międzynarodowej? W tenisie z grona tysiąca tenisistów szanse, by zaistnieć na arenie międzynarodowej, ma jedna osoba. Pianści podobnie?

Różnie bywa, zależy, jak im się życie ułoży. Potrzebne jest szczęście. Na pewno nie ma takiego przełożenia, że udział w trzecim etapie jest równoznaczny z jakimś przebiegiem kariery. Kariery się układają różnie. Natomiast jeśli chodzi o to, ilu z nich ma szansę na międzynarodowe estrady, to sytuacja jest podobna jak w sporcie i jak w innych rodzajach muzyki. Ile zespołów popowych robi dużą karierę?

Są perły, które przepadły?

Raczej nie, bo uczestnicy Konkursu Chopinowskiego to perły, które są już zazwyczaj tak ukochane przez publiczność, tak zapamiętane, że potem sobie znakomicie radzą.

A da się żyć z bycia pianistą z wyższej półki?

Tak. Nie zawsze są to wielkie sale koncertowe, ale na świecie jest wiele miejsc, gdzie młodzi ludzie mogą grać Chopina i zarabiać na tym. Trzeba mieć na siebie pomysł, możliwości są. Tak jak w każdym innym zawodzie, jeśli ktoś jest dobry, to znajdzie miejsce. Może w muzyce popowej jest trudniej, bo jest większa konkurencja.

Pytam o to, bo co pięć lat przez cały październik odmieniamy Chopina przez wszystkie przypadki, ale statystyki udziału w kulturze wysokiej nie są porażające. Porażające może nie są, ale nie ma też co popadać w rozpacz. Filharmonie wcale nie są puste. A zainteresowanie konkursem, zwłaszcza wśród młodych ludzi, też o czymś świadczy.

ŚWIAT ŻEGNA DIANE KEATON

Odeszła Diane Keaton (1946-2025), legenda kina, laureatka Oscara za najlepszą rolę kobiecą w filmie „Annie Hall”

Katarzyna Kwiecińska

Diane Keaton, jedna z najbardziej rozpoznawalnych postaci kina amerykańskiego, była aktorką, ikoną stylu, reżyserką i autorką o niezwykłej osobowości. Zyskała sławę w latach 70. dzięki roli w filmie „Ojciec chrzestny” i późniejszej pracy z reżyserem Woodym Allenem, który według mediów był na wieść o jej śmierci zrozpaczony.

Zdobyła Oscara dla najlepszej aktorki za rolę w filmie „Annie Hall” z 1977 roku. Jej długa kariera obejmuje filmy takie jak „Zmowa pierwszych żon”, wielokrotną współpracę z reżyserką Nancy Meyers oraz serial „Klub książki”.

Urodzona jako Diane Hall, występowała na scenie już w szkole średniej, potem przeniosła się do Nowego Jorku, by studiować aktorstwo. Na Broadwayu zadebiutowała w musicalu „Hair”, a później zagrała w sztuce Woody’ego Allena „Play It Again, Sam”, co przyniosło jej nominację do nagrody Tony. Jej droga filmowa zaczęła się od „Lovers and Other Strangers”, lecz przełom przyszedł z rolą Kay Adams w „Ojcu chrzestnym” (1972) w reżyserii Francis Forda Coppola, gdzie zagrała u boku Al Pacino. W 2023 roku Coppola miał powiedzieć: „Było w tobie coś głębszego, śmiesznieszego i bardzo interesującego... Miałem rację”.

Rok 1977 przyniósł aktorce Oscara za tytułową rolę w „Annie Hall” Woody Allena. Stała się ikoną stylu – w „Vogue” wspominała: „Ukradłam kapelusz Aurore Clément... dopełnił styl Annie Hall”. – Myślę, że bycie aktorem oznacza wystawienie się na szwank... Mam nadzieję, że jest w tym jakaś wartość – wyznała w wywiadzie dla pisma „Rolling Stone”.

„Annie Hall” uważana była za jedno z najważniejszych dzieł amerykańskiej komedii lat 70. Twórcza relacja z Woodym Allenem – oraz związek prywatny – przez lata fascynowała media i publiczność. Choć się rozstali, pozostali bliskimi przyjaciółmi.

„The Hollywood Reporter” nazwał ją „doskonałą aktorką naszego pokolenia”. „New York Times” w swoim nekrologu,

przypominał, że zagrała około 100 ról balansując z sukcesem między komedią a dramatem.

W „Reds” zagrała Louise Bryant – to druga nominacja do Oscara. Kolejne to „Pokój Marvinina” i „Lepiej późno niż później”. Współpraca z Nancy Meyers przyniosła popularne komedie: „Baby Boom”, „Ojciec panny młodej”, „Because I Said So”. W późniejszych latach powróciła w „Book Club”. Reżyserowała m.in. teledyski (np. „Heaven Is a Place on Earth” Belindy Carlisle) i filmy takie jak „Unstrung Heroes” czy „Hanging Up”.

Życie prywatne Keaton także budziło zainteresowanie miała związki z Warrenem Beattyem i Al Pacino. Jak przyznała „byłam na Pacino wściekła. Czarujący, zabawny, nieustający gaduła” – oceniła. W 2019 roku w magazynie People mówiła: „Cieszę się, że nie wyszłam za mąż”. Adoptowała dwoje dzieci: córkę Dexter i syna Duke’a. Pasjonowała się fotografią, architekturą, prowadziła renowację domów i była autorką pamiętników, m.in. „Then Again”.

W magazynie dla seniorów AARP wyraziła przekonanie, że „Celem jest trwanie w dobrym i złym, we wszystkim. ... Ryzykować. Kochać.”

Refleksje, wspomnienia i emocjonalne reakcje na śmierć Diane Keaton – publikowane przez media, w tym Deadline, People i The Hollywood Reporter pokazują, jak wiele znaczyła dla współczesnych jej twórców. Wskazują zarówno na jej nieprzeciętny talent („artystka najwyższego kalibru”), jak i cechy osobiste: autentyczność, serdeczność, brak fałszu czy rywalizacji, a także niepodrabialny styl.

Bette Midler napisała: „Błyskotliwa, piękna, niezwykła Diane Keaton... Była przezbawna, kompletnym oryginałem i całkowicie pozbawiona obłudy... To, co widziałeś, to tym, kim była... och, la, lala!”.

Elizabeth Perkins nazwała gwiazdę „narodowym skarbem, ze stylem, wdziękiem, inteligencją i ogromnym talentem”.

Jak Keaton sama napisała w „Then Again”: „Wspomnienia to po prostu chwile, które odmawiają bycia zwyczajnymi”.
PAP



FOT. PAP/EP

Diane Keaton miała 79 lat

KIEDY SUTANNA PRZESTAJE PASOWAĆ DO CIAŁA

Kiedyś księża rzucali sutannę w ciszy i wielkiej tajemnicy. Dziś coraz częściej robią to publicznie, liczba odejść rośnie, a ze stanu kapłańskiego odchodzą ludzie powszechnie znani. Najnowszym przykładem jest dominikanin ojciec Wojciech Jędrzejewski

Anna Gronczewska, Matylda Witkowska

Ojciec Wojciech Jędrzejewski był znanym w Polsce dominikaninem, dobrym kaznodzieją. Urodził się w 1968 roku. Pochodzi z Kamienia Pomorskiego, gdzie skończył technikum gastronomiczne.

- Miałem już gotowy plan na życie: najpierw praca w kuchni na promie do Szwecji, potem otwarcie dochodowej smażalni ryb nad morzem - opowiadał nam przed laty. - Jednak przed maturą zdecydowałem, że chcę być kaznodzieją.

Do zakonu dominikanów wstąpił w 1988 roku, sześć lat później przyjął święcenia kapłańskie. Przez wiele lat posługiwał w Warszawie, gdzie był duszpasterzem młodzieży. Potem wyjechał do Łodzi, został przeorem tworzącego się ośrodka dominikańskiego przy ul. Zielonej. Tu był też duszpasterzem akademickim. Był jednym z najpopularniejszych kaznodziejów działającego w Łodzi Dominikańskiego Ośrodka Kaznodziejskiego. Udzielał się w mediach katolickich. Prowadził popularny przed laty portal „Mateusz”. Współpracował z Radiem Plus, można było go posłuchać na kanale Religia.tv. Współpracował między innymi z „Tygodnikiem Powszechnym”, „Więzią”. Napisał kilka książek „Ewangelia dominikańska” czy „Fascynujące zaproszenie”.

W telewizji internetowej Boska.tv prowadził program „Boska uczta”, gdzie gotował różne potrawy, które oceniali znani kucharze.

- Kościół podobny jest do zielonego ogórka: żeby dostrzec jego zalety, trzeba najpierw przebić się przez skórkę - tłumaczy dominikanin.

Zakon nie bierze odpowiedzialności

Dlatego informacje, które pojawiły się kilka dni temu, wywołały wielkie zaskoczenie. Zakon dominikanów wydał w sprawie ojca Wojciecha Jędrzejewskiego komunikat.

- Informuję, że ojciec Wojciech Jędrzejewski OP postanowił zwrócić się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o zgodę na przeniesienie do stanu świeckiego i możliwość opuszczenia zakonu - napisał w nim Szymon Popławski OP, socjusz prowincjała dominikanów. - Prośba została przyjęta przez o. prowincjała do dalszego procedowania. Ojciec Wojciech Jędrzejewski podjął również decyzję o opuszczeniu klasztoru dotychczasowego zamieszkania. Przypomnę, że od 1 października 2024 r. działalność publiczną o. Wojciecha Jędrzejewskiego była zawieszona w związku prowadzonymi czynnościami kanonicznymi. Po podjęciu decyzji o wystąpieniu z zakonu i stanu duchownego oraz wyprowadzeniu się z klasztoru, zakon nie

bierze odpowiedzialności za jakiegokolwiek działania o. Wojciecha Jędrzejewskiego.

Od razu pojawiły się różne spekulacje dotyczące powodów takiej decyzji znanego dominikanina. Nie chciał się na ten temat wypowiadać Tomasz Terlikowski, popularny publicysta katolicki. Zamieścił jednak komentarz na ten temat na Facebooku.

- Szanuję też prawo do milczenia zarówno zakonu, jak i Wojciecha Jędrzejewskiego - napisał Tomasz Terlikowski. - Osobiste wybory, osobiste decyzje, jeśli nie łączą się z tuszowaniem przestępstw lub przestępstwami, powinny zostać uszanowane. Były już dominikanin może, jeśli będzie chciał, o nich opowiedzieć, a jeśli pojawią się nowe, rzucające odmienne światło na tę decyzję okoliczności, to być może powinni się do tego odnieść dominikanie. Jeśli jednak nie mamy w tej sprawie do czynienia z przestępstwem, a ze spłotem wydarzeń, może błędów, może grzechów, to dojrzałość wymaga, by pozwolić ludziom o tym milczeć. I nie, nie ma tu podobieństwa do innej medialnej sprawy, innego zakonika (...). Trudno też uciec od wrażenia, że ta - przeciętnie pierwsza, i z pewnością nie ostatnia sprawa - przypomina nam z całą mocą, że duchowni są ludźmi, że nie na nich mamy budować naszą wiarę, i że ani charyzmatyczność, ani zaan-

gażowanie, ani nawet fakt, że pomagało się wielu osobom, nie chroni przed błędami. Jeśli mamy trwać w Kościele, to wiązanie emocji z ludźmi zawsze jest skazane na porażkę. Tym zaś, którzy odchodzą - na skutek rozmaitych błędów (nie zawsze swoich), spłotów okoliczności czy zmian - trzeba (jeśli tego chcą) dyskretnie towarzyszyć, wspierać, a także pozwolić na nowe życie. Wyjątkiem jest sytuacja, w której wydarzyła się nierozliczona krzywda, gdy tuszuje się krzywdę i pozwala ją czynić nadal. To jest ten wyjątek, który sprawia, że nie wolno milczeć.

Osobista decyzja i łamanie ślubów czystości

Tymczasem po kilku dniach sam Wojciech Jędrzejewski postanowił wyjaśnić powód swej decyzji.

- Odejście z zakonu i ze stanu duchownego jest moją osobistą decyzją - napisał w oświadczeniu opublikowanym na portalu „Więzi”. - Decyzja ta wiąże się z łamaniem zakonnych ślubów czystości, do której się zobowiązałem. Przepraszam tych, których zawiodłem, i proszę o modlitwę. Katolicyzm był i pozostaje przestrzenią mojego przeżywania Boga.

Wojciech Jędrzejewski jednocześnie zaznaczył, że nie będzie już komentował tej sprawy.



Dominikanin nie jest pierwszym i pewnie ostatnim zakonikiem czy księdzem diecezjalnym, który żegna się ze stanem duchownym. Ostatnie dane Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego dotyczące takich spraw pochodzą z 2017 roku. Wtedy w Polsce kapłaństwo porzuciło 73 księży. Natomiast od 2000 do 2017 roku sutannę w Polsce rzucało rocznie przeciętnie 56 księży diecezjalnych.

W ostatnim czasie takich przypadków jest coraz więcej. Na przykład w wakacje 2023 roku w archidiecezji poznańskiej z kapłaństwa odeszło pięciu księży. Ówczesny metropolita poznański abp Stanisław Gądecki wystosował w tej sprawie specjalny list do księży, w którym wzywał do nawrócenia. Z kapłaństwa odchodzą też księża pracujący w archidiecezji łódzkiej, choć te sprawy nie są nagłaśniane. Od kilku lat kapłanem nie jest już na przykład były wicerektor łódzkiego seminarium. Otrzymał od papieża zwolnienie ze ślubów czystości i mógł wziąć ślub kościelny.

Jedno z pierwszych głośnych odejść w polskim Kościele wykonał jezuita Stanisław Obirek. W 2005 roku ogłosił, że po 29 latach opuszcza zakon. Jak twierdził później, narastały w nim wątpliwości dogmatyczne, ale bezpośrednią przyczyną odejścia była krytyka Jana Pawła II na łamach belgijskiego dziennika „Le Soir”, w którym porównał zmarłego właśnie polskiego papieża do... „proboszcza wiejskiej parafii”. Został za to ukarany zakazem wykładów i kontaktów z mediami, po czym wystąpił z zakonu. Jako osoba świecka Obirek jest aktywnym publicystą i naukowcem, profesorem na Uniwersytecie Warszawskim. Napisał wiele książek, w tym najbardziej znaną „Gomórę” o władzy, strachu i pieniądzu w polskim Kościele. Ożenił się.

W roku 2007 stan duchowny opuścił dominikanin Tadeusz Bartoś, który też w życiu świeckim zajął się publicystyką i pracą naukową na Uniwersytecie Ekonomicznym

JEDNO Z PIERWSZYCH GŁOŚNYCH ODEJŚĆ W POLSKIM KOŚCIELE WYKONAŁ JEZUITA STANISŁAW OBIREK. W 2005 ROKU OGŁOSIŁ, ŻE PO 29 LATACH OPUSZCZA ZAKON



Od 2000 do 2017 roku sutannę w Polsce rzucało rocznie przeciętnie 56 księży diecezjalnych

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI/ARCHIWUM PPG

w Krakowie. Niemal jednocześnie z nim sutannę zrzucił ks. Tomasz Węclawski, wcześniej rektor Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Poznaniu i dziekan Wydziału Teologicznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Węclawski przyczynił się do nagłośnienia sprawy molestowania kleryków przez abp. Juliusza Paetza, przez co spotkał się z szykanami. W roku 2007 opuścił stan duchowny, a rok później dokonał apostazji. Odnalazł się w życiu pozakościelnym, na poznańskim uniwersytecie zaczął pracować jako wykładowca świecki. Opinia publiczna zapamiętała jego symboliczną zmianę nazwiska - Węclawski ożenił się i przyjął nazwisko panieńskie żony. Teraz nazywa się Tomasz Polak.

„Przestał się bać zwyczajnej miłości”

Wspieranie ofiar księży skończyło się też odejściem z Kościoła katolickiego dominikanina Marcina Mogielskiego. Zakonnik wspierał m.in. poszkodowanych przez swojego współbrata Pawła M., który ze studenckiego duszpasterstwa stworzył coś na kształt sekty, w której stosował „modlitwę nagością” i kary cielesne. Mogielski walczył o prawdę, ale nie wszystkim się ta działalność podobała. W konsekwencji dwa lata temu w Wielką Sobotę ogłosił, że od-

chodzi z Kościoła katolickiego i przechodzi do protestantów. Dziś wspiera osoby w kryzysie w nurcie radykalnego wybaczenia.

Wsparciem psychologicznym zajął się też były przeor klasztoru dominikanów w Gdańsku Jacek Krzysztofowicz. Duchowny spędził w biało-czarnym habicie ćwierć wieku, przyciągał na swoje wieczorne msze św. tłumy wiernych, po czym 12 lat temu nagle ogłosił, że odchodzi, bo „przestał się bać zwyczajnej miłości”.

Początkiem końca jego zakonnej drogi była książka o przestrzegających absurdalnie surowych reguł mnichach z Indii. Dominikanin zrozumiał, że też żyje w podobny sposób i przestał wierzyć w sens aż takich wyrzeczeń. Zakochał się, ożenił i przeprowadził do Łodzi, gdzie pracuje jako psychoterapeuta. Wspiera rodziców dzieci autystycznych i nie udziela się publicznie.

Dziewięć lat temu wierni z Łodzi śledzili odejście innego dominikanina - ojca Adama Wyszyńskiego. Młody zakonnik prowadził duszpasterstwo akademickie, doświadczył jednak nagłych i poważnych problemów zdrowotnych, co zmieniło jego spojrzenie na zakon. Potem w programie Zbigniewa Stonogi wyznał, jak od jednego z braci miał otrzymać niedwuznaczną propozy-

cję, a przez drugiego... został uderzonym patelnią w pośladek. Zakon wydał lakoniczne oświadczenie, natomiast ojciec Wyszyński zaprzyjaźnił się z księdzem Jackiem Międlarem.

Tam, gdzie sutanna zahacza o politykę

Połączyła ich sytuacja życiowa. Należący do zgromadzenia Księży Misjonarzy św. Wincentego a Paulo Jacek Międlar zdobył wątpliwą sławę z powodu swoich wystąpień nacionalistycznych i homofobicznych. W końcu opuścił swoje zgromadzenie, ale nie zrezygnował z działalności publicznej. Brał udział w kontrowersyjnych marszach narodowców we Wrocławiu, miał też kilka procesów w związku ze swoimi wypowiedziami. Poglądów nie zmienił. Działa publicznie, napisał kilka książek, w tym dzieło pt. „Moja walka o prawdę. Wyznania byłego księdza”.

Polityka nie pomogła też w karierze innego księdza - Tymoteusza Szydło. Święcenia miał w czasie, gdy jego matka była szefową rządu. Jego pierwsze odprawiane msze św. stały się wydarzeniami medialnymi, ale w młodym duchownym narastał kryzys wiary. Ostatecznie wystąpił o przeniesienie do stanu świeckiego. Wyraził przy tym żal, że stał się ofiarą poszukiwaczy sensacji, przyznając jednak, że niepotrzebnie dał się skojarzyc z jedną opcją polityczną.

To tylko kilka przykładów głośnych odejść z kapłaństwa. Ale niektórzy zrzucają sutannę w ciszy.

Odejścia i powroty

Ta historia wydarzyła się przed laty. Kazimierz był księdzem z ponad 10-letnim stażem, kiedy poznał Iwonę. Dobrze się im rozmawiało, z czasem zaprosił ją do kawiarni. Ona wiedziała, że jest księdzem. Przez kilka miesięcy ukrywali swój związek. Nagle okazało się, że Iwona jest w ciąży. Na Kazimierza spadło to jak grom z jasnego nieba. Postanowił jednak nie zostawiać Iwony i ich nienarodzonego jeszcze dziecka. Odszedł z kapłaństwa. Zamieszkali razem. Na świat przyszła ich córka Kasia. Kazimierz nie widział poza nią świata. Ale nie mógł też zapomnieć o kapłaństwie. Został księdzem polskokatolickim. W tym Kościele kapłani mogą mieć żony. Odprawiał msze święte, a po nich wracał do swojej rodziny. Kasia miała 5 lat, gdy wyjechała z rodzicami na wakacje nad morze. Tu doszło do nieszcześćcia. Wystarczyła chwila nieuwagi i dziewczynkę pochłonięły fale Bałtyku.

- To moja wina, moja wina! - powtarzał Kazimierz. Nie mógł pogodzić z tym, co się

KS. ISAKOWICZ-ZALESKI ZAUWAŻAŁ, ŻE W OSTATNICH LATACH SUTANNĘ ZRZUCAJĄ NAJCZĘŚCIEJ MŁODZI KSIĘŻA, MAJĄCY PO KILKA LAT KAPŁAŃSTWA

stało. Bardzo pomogli mu wtedy koledzy, z którymi uczył się w rzymskokatolickim seminarium. Kazimierz postanowił wrócić na łono Kościoła. Procedury trwały długo, ale powrócił do kapłaństwa. Nie do diecezji, w której pracował. Skierowano go do pracy na zachodzie Polski. Został tam nawet proboszczem.

Kiedy parafianka za bardzo się spodoba

Jednak każdy przypadek porzucenia kapłaństwa jest inny. Zwykle księża nie robią tego z dnia na dzień. Rozmawia z nimi biskup diecezjalny. Często zanim zdecydują się na ostateczny krok, idą na urlop. Na rok, dwa, a nawet trzy lata. Może być spowodowany problemami zdrowotnymi, ale czasem taki ksiądz potrzebuje czasu, by przemyśleć pewne sprawy. Nadchodzi kryzys powołania i musi sobie z tym poradzić.

Józef już dawno nie żyje. Pochodził z bardzo religijnej rodziny. Urodził się na Wileńszczyźnie. Był ministrantem. Codziennie biegał na msze święte. Bardzo pobożna mama nie musiała go na to namawiać. Józef zdał maturę i postanowił wstąpić do zakonu jezuitów. Mimo że wybuchła wojna, nie zrezygnował ze swoich planów. Przyjął śluby zakonne, święcenia kapłańskie. Po wojnie jako repatriant razem z mamą przyjechał do Polski. Jego Wilno było już częścią Związku Radzieckiego. Formalnie dalej był jezuitą, ale z czasem został księdzem diecezjalnym. Pracował w diecezji wrocławskiej. Kiedyś przypadkiem spotkał Krysię, dziewczynę, którą przed laty poznał w Wilnie. Zainteresował się nią, bo pięknie śpiewała, on grał na skrzypcach...Krysia mieszkała z rodzicami w Łodzi. Miała 26 lat, była kilka lat młodsza od Józefa.

- Zakochałem się w niej, w jej głosie - zwierzał się potem Józef. - Nie mogłem przestać o niej myśleć, ale też wiedziałem, że bardzo chciałem być księdzem. Kochałem też Pana Boga.

Józefa dręczyły wyrzuty sumienia. Coraz częściej jednak spotykał się z Krysią. Wiedział, że robi źle, jednak nie mógł przestać o niej myśleć. Scenariusz znów zaczął się powtarzać. Okazało się, Krysia jest w ciąży... Józef wiedział już jedno, musi odejść z kapłaństwa. Był to przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wzięli z Krysią ślub cywilny,

urodził się im syn. Kazimierz zaczął starać się w Watykanie o zwolnienie od celibatu. Takiego zwolnienia może dokonać tylko papież. Józef w końcu je uzyskał. Znów mógł przyjmować komunie świętą, a przede wszystkim wziąć ślub kościelny z Krysią. Udzielił im go w swojej prywatnej kaplicy biskup Michał Klepacz, ówczesny ordynariusz diecezji łódzkiej. Józef uczył muzyki w łódzkich szkołach, Krystyna też była nauczycielką.

- Józef codziennie przed pracą chodził do kościoła na mszę i przyjmował komunie świętą - zapewnia jego dobra znajoma. - To był naprawdę bardzo dobry człowiek. Nie wolno zapominać, że nie ma zwolnienia ze święceń kapłańskich. Są one ważne do końca życia wyświęconego kapłana. Nie może on jednak sprawować sakramentów świętych.

Józef zmarł nagle. Nie wiedział, że jego synowa jest w ciąży. Kilka miesięcy po jego śmierci na świat przyszedł Michał. Chłopiec urodził się ze zniekształconą nogą...

Sutannę zrzucają młodzi księża

Nieżyjący już ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, współzałożyciel i prezes Fundacji im. Brata Alberta twierdził, że przyczyn odejść z kapłaństwa jest wiele.

- Kiedyś zupełnie inaczej wyglądało przygotowanie do kapłaństwa - wyjaśniał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Ja studiowałem w krakowskim seminarium w latach siedemdziesiątych. Wtedy wielu kleryków odbywało służbę wojskową. Po jej odbyciu część nie wracała do seminarium. To już był jeden z elementów selekcji. Poza tym w seminarium mieszkaliśmy w spartańskich warunkach. Spaliśmy na piętrowych łóżkach. Były szykany ze strony władz, inwigilacja. Wyświęceni księża byli zahartowani.

Ks. Isakowicz-Zaleski zauważał, że w ostatnich latach sutannę zrzucają najczęściej młodzi księża mający po kilka lat kapłaństwa.

- To bardzo niepokojące - martwił się ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Pojawia się pierwszy poważny problem i odchodzą. Moim zdaniem to nie sprawa celibatu, choć na pewno dla niektórych jest on problemem. Nie są przygotowani do zderzenia z rzeczywistością. Przez sześć lat są trzymani pod kloszem. Trafiają

na parafie i stykają się z problemami. Zaczynają uczyć w szkole religii, co dziś jest bardzo trudne. Nie każdy ksiądz ma predyspozycje, by być nauczycielem. Przy pierwszych konfliktach, problemach, młody ksiądz decyduje się odejść z kapłaństwa. Gdy kończyłem seminarium, wyświęcono ponad 50 księży. Z kapłaństwa odeszło dwóch kolegów.

Jacek sutannę zrzucił w latach osiemdziesiątych. Pochodzi z Łodzi. Miał bardzo religijną mamę. Bardzo chciała, by jej syn został księdzem. Jacek miał kilkanaście lat, gdy posłała go do niższego seminarium ojców franciszkanów. Ale Jacek nie zdawał tam matury. Postanowił odejść z niższego seminarium. Do egzaminu dojrzałości przystąpił w świeckim liceum. Dalej jednak, przy wielkiej aprobachie mamy, chciał być księdzem. Wstąpił więc do paulinów, ale po jakimś czasie przeniósł się do paulistów. W końcu stwierdził, że chce być księdzem diecezjalnym. Starał się o przyjęcie do Wyższego Seminarium Duchownego diecezji łódzkiej. Ale odmówiono mu. Wtedy próbował szczęścia w seminarium częstochowskim. Tam go przyjęto. Został wyświęcony na księdza. Skierowano go do parafii znajdującej się niedaleko Piotrkowa Trybunalskiego, ale na terenie diecezji częstochowskiej. Grał pięknie na gitarze. Ludzie go polubili. Ale najbardziej spodobał się jednej z parafianek. Postanowił więc odejść z kapłaństwa. Potem w miejscowym Urzędzie Stanu Cywilnego wziął ślub cywilny. Wywołało to zgorzienie części tamtejszej społeczności. Jacek dalej chciał być jednak księdzem, więc przeszedł do Kościoła polskokatolickiego. Pracował najpierw w Polsce, dziś z rodziną mieszka w Stanach Zjednoczonych. Dalej jest księdzem polskokatolickim.

Kiedyś księża odchodzili z kapłaństwa cicho, w tajemnicy. Teraz takie decyzje bywają sprawami medialnymi. Ks. Michał Macherzyński, proboszcz w parafii pw. Matki Bożej Królowej Aniołów w Tychach-Wilkowicach podczas Bożego Ciała ogłosił, że zrzuca sutannę. Wierni przyjęli to oklaskami.

- Myślę, że te głośne odejścia są rodzajem usprawiedliwienia, pokazania, że ja jestem dobry, a Kościół zły - uważał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Znam księży, którzy odeszli z kapłaństwa, nie robili z tego show, znaleźli sobie potem sensowne zajęcie. Prowadzę fundację i byli księża, zakonnicy, siostry zakonne angażują się w jej prace jako wolontariusze. Robią dalej coś dobrego, odnajdują się w innej pracy. Ale znam takich, którzy nie odnajdują się w nowej rzeczywistości.

Nie będzie łatwo. Jest duży opór gmin turystycznych przed zmianami - mówi Iwona Hartwich (KO), posłanka z Torunia. Taką refleksję ma po pierwszych kontaktach z władzami samorządowymi gmin, do których pod koniec sierpnia wystosowała list otwarty. Otwarte w pewnym stopniu są te władze, które zaprosiły na rozmowy. Oporu można się spodziewać tam, gdzie jest brak reakcji albo pojawia się odpowiedź: „Nie da się tak od razu”.

Hartwich w swoim liście adresowanym do wszystkich gmin turystycznych w Polsce zaapelowała o trzy podstawowe sprawy. Po pierwsze, o zapewnienie w każdej miejscowości nadmorskiej i w każdym dużym kurorcie turystycznym co najmniej jednego w pełni dostępnego wejścia do wody osobie poruszającej się na wózku inwalidzkim.

Po drugie, o uwzględnienie potrzeb osób z niepełnosprawnościami w planach zagospodarowania przestrzennego i inwestycjach turystycznych. Trzecim postulatem natomiast jest wykorzystanie opłat klimatycznych oraz funduszy unijnych na likwidację barier architektonicznych w miejscach wypoczynku.

- Zapewnienie dostępu do plaży czy kąpieliska osobom z niepełnosprawnościami nie jest łaską. To obowiązek wobec obywateli - podsumowała posłanka z Torunia. I po apelu ruszyła do pracy - na spotkania z poszczególnymi samorządami. Była już w kilku miejscach nad morzem, planuje kolejne spotkania.

Nie byłoby apelu posłanki i rozpoczętej kampanii, gdyby nie liczne sygnały, które dostawała przez całe wakacje. Zresztą, kolejne już takie. Sama jest matką niepełnosprawnego Jakuba, poruszającego się na wózku. Od lat walczy o poprawę sytuacji osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów. Wie, na co się teraz porzywa, ale jeśli nie dziś, to kiedy?!

A tymczasem niepełnosprawni i ich opiekunowie ślą kolejne zgłoszenia i skargi. Wyłania się z nich obraz kraju, w którym traktowani są jak obywatele drugiej kategorii. „Może dlatego, że za mało się na nas zarabia” - konstatują smutno niektórzy.

„Jestem w sanatorium w Kołobrzegu. Spacer nad morzem niemożliwy”

Wrzesień. „Jestem w sanatorium w Kołobrzegu. Niestety, spacer nad samym morzem niemożliwy. Nie ma jak wózkiem zjechać” - daje znać posłance Aneta.

W mediach społecznościowych reakcja natychmiastowa.

O GODNOŚĆ NA WAKACJACH. NIEPEŁNOSPRAWNI JAK TURYSŢCI DRUGIEJ KATEGORII

Brak zjazdu nad morze czy jezioro, niedostępne toalety, nieczynne windy i podnośniki, za wysokie krawężniki - to tylko początek długiej listy barier. Osoby niepełnosprawne wciąż są w Polsce turystami drugiej kategorii. Czy kampania podjęta przez posłankę Iwonę Hartwich to zmieni? Czy następne wakacje będą lepsze?

Małgorzata Oberlan



Czas skończyć z barierami na polskich plażach!

Posłanka Iwona Hartwich z Torunia (KO), mama niepełnosprawnego Jakuba i aktywna działaczka na rzecz poprawy sytuacji osób niepełnosprawnych i ich opiekunów, wystosowała list otwarty do władz wszystkich gmin turystycznych w Polsce. Podjęła walkę o dostępność infrastruktury dla niepełnosprawnych - zaczęła cykl spotkań

„Byłam, potwierdzam” - pisze Romana. „To prawda” - pisze Darek. „Dobrze, że ktoś się za to wziął. Niedostosowane bywają nawet te ośrodki, które teoretycznie mają podpisane umowy z PFRON-em i biorą grubą kasę za turnus. A tymczasem nie mają dostosowań, a rehabilitacja w nich nie spełnia żadnych norm. To są wyjazdy wakacyjne za kasę PFRON-u. Wszyscy o tym wiedzą, a nikt głośno nie mówi” - dorzuca Agata.

Lipiec i sierpień. „Ja z synem (niepełnosprawnym) byłam w Dźwirzynie. Tam również nie ma zejścia dla niepełnosprawnych. Owszem, jest takiego tylko kawałek. Ale co dalej? Byłam w tej sprawie w miejscowym urzędzie. Pani sobie zapisała ten problem i kazała mi jeszcze pisać do Kołobrzegu, bo oni tam podlegają” - relacjonuje pani Ewa.

- Świnoujście, Międzyzdroje, Mrzeżyno, Dźwirzyno, Kołobrzeg, Stegna, Jantar, Kąty Rybackie, Sztutowo, Sopot, Gdynia... Z tych nadmorskich miejscowości tylko Gdynia ma plażę naprawdę dostosowaną dla potrzeb osób z niepełnosprawnościami: z kompleksem zjazdów aż do samego morza, toaletami i przebieralniami przy samej plaży. Pozostałe miejscowości, nawet jeśli coś mają, to są to pseudozjazdy o długości 2-3 metrów. W najlepszym razie, jak w Świnoujściu, jest kilka zjazdów, nawet z platformami, ale do połowy plaży. Największym rozczarowaniem był dla mnie Kołobrzeg, który mieni się największym uzdrowiskiem w Polsce. Jest wprost naszpikowany barierami” - to opinia innej matki osoby niepełnosprawnej.

„Jest to ogromny problem nad polskim morzem. Przykła-



Iwona Hartwich z synem

dem jest Rewal. W kwietniu 2025 roku oddano tam nowe, wygodne zejście z 57 schodami. Ale niedostępne dla osób niepełnosprawnych” - opisuje pani Anna.

Nie chodzi tylko o morze. I nie tylko o osoby na wózkach...

W przywoływanym Trójmieście nie tylko dostęp do morza jest problemem. Wykluczeni w tym turystycznym mieście czują się ludzie z różnymi typami niepełnosprawności i w różnych jego rejonach.

„W przypadku Trójmiasta jest jeszcze jeden aspekt dostępności dla niepełnosprawnych: perony SKM. Mam niewidzącą, dorosłą córkę i całe szczęście, że mój mąż ma jeszcze siłę wziąć ją pod ramiona i przesadzić przez tę przepaść, która ziele między wagonem a peronem - doświadczyliśmy tego w Sopocie i Gdyni. W nowych pociągach też nie ma lekko - wyjście jest o jakieś 20-30 cm niżej niż peron i do tego ta przerwa między stopniem a krawędzią peronu. Być może mieszkańcy Trójmiasta już się z tym pogodzili, ale dla przy-

jezdnych to szok. Jak radzą sobie seniorzy czy osoby z ograniczeniem ruchowym? Nie mam pojęcia” - opisuje matka z Kujaŕsko-Pomorskiego.

A przecież wakacje to nie tylko morze, ale i jeziora, uzdrowiska, góry, turystyka miejska. I tutaj lista barier i najzwyczajszych upokorzeń jest długa. Po cząwszy od banalnych dla kogoś zdrowego spraw typu dostęp do WC.

„Mój mąż ma urostomię. Pojechaliśmy do Torunia pociągiem i wysiedliśmy na dworcu Toruń Miasto. Tak nam radzono, bo najbliższe starówki. Jest w remoncie. Toalety przyzwyczajony brak, tylko jakaś budka. Chcieliśmy dojść do starówki, ale mąż nie wytrzymał. Woreczek opróżniał w krzakach” - wspomina letnią wycieczkę Beata.

Jakie będą kolejne wakacje? „Są deklaracje”

Historie, relacje, sygnały można by mnożyć. Niedostępność turystyczna w Polsce to skutek długich lat zaniedbań. Niestety, także ostatnich, kiedy to wiele gmin korzystało z unijnych dotacji na rozwój swojej bazy, atrakcji etc. Już na etapie projektowania nowych inwestycji czy modernizacji starych „zapominano” o realnym ich dostosowaniu do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Realnych, bo jakieś podstawowe wymogi jednak się spełnia.

Pierwsze z cyklu spotkań z samorządami gmin turystycznych posłanka Iwona Hartwich odbyła z przedstawicielami Gdańska i Sopotu. Nie była na nim sama. Towarzyszyła jej posłanka Henryka Krzywonos oraz dwie matki niepełnosprawnych dzieci: Marzena Staneŕwicz i Maja Iwińska. Jak releksje na gorąco?

- Cóż, w Sopocie mamy kładkę do morza jedyną taką całej Polsce. Pod względem dostępności dla osób z niepełnosprawnością i komfortu może być wzorem dla każdej miejscowości. I tyle. Ze strony Gdańska plan jest taki, aby powstała chociaż jedna tego typu także u nich. Będzie kolejne spotkanie w tej sprawie, po sprawdzeniu możliwości. Pani prezydent Gdańska ma być ze mną w kontaktach - przekazuje posłanka.

Generalnie, oporne na zmiany gminy turystyczne czy uzdrowiskowe lubią mówić: postulaty słuszne, ale skąd wziąć na to pieniądze? Tutaj odpowiedź posłanki jest jednak natychmiastowa. Po pierwsze, niektóre rozwiązania są proste i niedrogie. Po drugie, gminy pobierają opłaty klimatyczne. Po trzecie zaś - są beneficjentami dotacji z Brukseli także na rozwój turystyki.

- I przynajmniej część tych środków powinna być przeznaczana na likwidację barier - podkreśla konsekwentnie Iwona Hartwich. ©

ZOSTAŁA OSKARŻONA O TERRORYZM. PO PIĘCIU LATACH WRACA NA WOLNOŚĆ

Halina Derbysz jest jedną z 52 więźniarek politycznych Białorusi zwolnionych we wrześniu br. Spośród całej grupy to właśnie ona miała najwyższy wyrok - w 2021 roku została oskarżona o „próbę przejęcia władzy” i skazana na 20 lat pozbawienia wolności

Ruslan Kulevich



Pani Halina w białoruskiej kolonii straciła zdrowie. Kobieta ma nadzieję, że będzie mogła ubiegać się w Polsce o mieszkanie socjalne

Halina Derbysz ma 64 lata. W białoruskim więzieniu i kolonii karnej spędziła prawie pięć lat. Kobieta ma dwa obywatelstwa - białoruskie i polskie. Z tego pierwszego wielokrotnie próbowała zrezygnować. Pisała też listy do polskich dyplomatów z prośbą o pomoc.

Przez 25 lat pracowała jako księgowa w kołchozie w Obuchowie koła Grodna. W chwili zatrzymania była już na emeryturze. Prowadziła gospodarstwo i opiekowała się bezdomnymi zwierzętami, w związku z czym sąsiedzi i znajomi często nazywali ją „matką Teresą z Obuchowa”.

Kobieta była też społeczną aktywistką. W 2010 roku - podczas wyborów prezydenckich - została niezależną obserwatorką.

Oskarżyli ją o terroryzm i próbę przejęcia władzy

W grudniu 2020 roku Halina Derbysz została zatrzymana. - Siedziałyśmy z córką w domu przy herbacie. Zapukano do drzwi, otworzyłam - a tam kilku mężczyzn po cywilnemu. Wpadli do środka, zabrali telefon. Zaczęli przeszukiwanie, a mnie zabrali do KGB.

Tam kobiecie przedstawiono zarzuty z kilku artykułów kodeksu karnego: udział w organizacji przestępczej, terroryzm i próba przejęcia władzy niekonstytucyjną drogą. - Potem zaczęły się przesłuchania. Po dwadzieścia razy pytali o to samo. Mówiłam, co wiedziałam. Jeden z nich krzychał: „To terrorystka!” Potem wszystko potoczyło się jak po sznurku. Adwokata mi nie przydzielono - usłyszałam tylko: „Nie jest pani potrzebny obrońca.” Przesłuchiwali mnie do późna, potem przez dwa dni nie dali ani jedzenia, ani leków. Traciłam przytomność, nie miałam siły. Pamiętam, jak ciągnęli mnie po schodach w kajdanach, przyciskali do ściany... Ciężko to wspominać. Potem przewieziono mnie do aresztu śledczego w Grodnie. Trzymali tam 18 dni, znowu i znowu przesłuchiwali. A co miałam ukrywać? Mówiłam prawdę, ale im chodziło o to, żeby mówić to, co chcieli usłyszeć.

Derbysz oskarżono o udział w grupie, którą - według śledczych - kierował Mikołaj Awtuchowicz. Białoruskie władze twierdzą, że grupa była zamieszana w podpalenia domów milicjantów w Wołkowysku i radiowozów w Grodnie.

Powodem zatrzymania było to, że jesienią 2020 roku Awtuchowicz wraz z innym oskarżonym zatrzymali się na noc w domu Haliny - Mikołaj jechał z Wołkowyska do Grodna, a kobieta udzieliła mu noclegu. Jednym z „dowodów” na jej rzekomą udział w sprawie Awtuchowicza był paragon ze stacji benzynowej, który funkcjonariusze znaleźli w koszu.

Pisała o odebranie białoruskiego obywatelstwa

Jeszcze kilka lat przed 2020 rokiem Halina otrzymała obywatelstwo polskie - z uwagi na swoje korzenie. Wszyscy jej krewni ze strony matki mieszkają dziś w Polsce. - Już podczas śledztwa dwa razy pisałam podanie o pozbawienie mnie obywatelstwa białoruskiego. Najpierw do sądu rejonowego. W liście napisałam, że mam obywatelstwo Polski i Białorusi, ale proszę, by nie uznawano mnie już za obywatelkę Białorusi. Nie chcę być częścią państwa, które łamie prawa człowieka. W odpowiedzi przyszło pismo: „pozbawienie obywatelstwa jest niemożliwe.” Wtedy napisałam kolejne - już do władz obwodu. Wyjaśniłam, że nie chcę żyć w kraju, gdzie ludzi pozbawia się wolności, a prawo nic nie znaczy, ale odpowiedzi nie dostałam.

Podczas pierwszej rozprawy Halina ponownie złożyła wniosek, by nie uznawać jej za obywatelkę Białorusi. Został on odrzucony. - Pisałam do wszystkich instytucji, które prowadziły moją sprawę. Prosiłam o wezwanie polskiego konsula, o zapewnienie polskiego adwokata i prokuratora - chciałam, by sprawę rozpatrywano z udziałem strony polskiej. Odpowiedzieli: „Mieszka pani na Białorusi, przestępstwo popełniła pani tutaj, więc nie się pani nie należy.”

W maju 2021 roku Halinę Derbysz umieszczono w pojedynczej celi w więzieniu w Grodnie. - To była forma presji psychicznej. Cella była jednoosobowa, a po bokach siedziały dziewczyny, które śmiały się i rozmawiały. Z góry i z dołu też było słychać hałas. A ja siedziałam sama. Nikogo nie wpuszczali - ani polskich konsulów, ani przedstawicieli innych krajów.

Podczas rozpraw Halina przebywała w tzw. „klatce - szkłance” - kabinie z metalu lub szkła, w której trzyma się oskarżonych. Kobieta wspomina, że przed każdą rozprawą była rozbiegana i jej ubrania prześwietlano promieniami rentgena. Dziś jest przekonana, że właśnie wskutek tego jej skóra pokryła się plamami, a włosy zaczęły wypadać.

Czekali na terrorystów, a wyszły dwie emerytki

W październiku 2022 roku Halina Derbysz została skazana na 20 lat pozbawienia wolności. Karę miała odbywać w kolonii karnej w Homlu. - Kiedy przyjechałam, czekał na mnie major i dwóch mężczyzn z karabinami. Spodziewali się terrorystów, a wyszły dwie emerytki - wspomina. - Jechaliśmy razem z [Ljubow] Rezanowicz - żoną prawosławnego księdza Siergieja Rezanowicza, która została zatrzymana razem z mężem i synem w tzw. „sprawie Awtuchowicza” i skazana na 15 lat więzienia. Pomyślałam wtedy: nasza „banda” to drużyna wszystkich emerytów i osób z niepełnosprawnościami z całej Białorusi.

W kolonii stan zdrowia Haliny Derbysz znacznie się pogorszył. Kobieta ma drugą grupę niepełnosprawności - w młodości uprawiała sporty motorowe, a po wypadku i operacji prawa ręka nie odzyskała pełnej sprawności. Ma też problemy neurologiczne.

W 2023 roku zachorowała na COVID-19. W czasie choroby trafiła na sześć dni do karceru, gdzie nabawiła się jeszcze zapalenia zatok. Mimo chorób układu krążenia i konieczności stałego przyjmowania leków, nie zawsze otrzymywała potrzebne medykamenty. Nawet „witaminowe paczki” od rodziny często były zakazane. Przez prawie pięć lat kobieta nie otrzymała też pomocy dentystycznej. - Prosiłam, żeby zawieźć mnie do dentysty w mieście, ale słyszałam tylko, że „nie ma takiego prawa”. W końcu więzienny lekarz bez znieczulenia wyrwał mi wszystkie sztyfty, na których trzymała się koronka. Łzy mi ciekły jak u bobra, ale krzyczeć nie wolno, bo od razu raport i karcer - opowiada.

Halina odbywała karę wśród kobiet, z których wiele było skazanych za zabójstwo. Jak mówi, to właśnie one miały lepsze relacje z administracją kolonii niż więźniarki polityczne.

Z kolonii Halina pisała listy do polskiego konsula i dyploma-

tów Unii Europejskiej, prosząc o wizytę i sprawdzenie warunków, w jakich jest przetrzymywana. Wszystkie listy wracały jednak do kolonii.

- Potem dowiedziałam się, że jeden z dyplomatów próbował mnie odwiedzić, ale nie został wpuszczony. Później przyszedł polski konsul - i jego również nie dopuścili do spotkania ze mną.

Halina przyznaje, że przygotowywała się na śmierć w kolonii. We wrześniu 2025 roku niespodziewanie pojawili się funkcjonariusze służb i kazali jej spakować rzeczy - twierdzi, że zostanie przeniesiona do innego bloku. - Założyli mi maseczkę na oczy i gdzieś zawieźli. Wprowadzili do budynku i kazali podpisać dokumenty, na których widniało „Areszt KGB”. Byłam pewna, że przygotowują mnie do rozstrzelania. Niczego mi nie wyjaśniono. Kiedy wprowadzono mnie do małej celi, wyłożonej linoleum, pomyślałam, że najpierw będą mnie torturować.

W tej celi spędziła jedną dobę. Następnego dnia wyprowa-

dzono ją i posadzono w autobusie z innymi więźniarkami politycznymi, którzy mieli zostać zwolnieni. Obok siedział Mikołaj Statkiewicz. W drodze przypuszczałam, że mogą ich wywozić z kraju.

- W autobusie usłyszałam: „Kto tu jest Halina Derbysz?” Podszedł do mnie [John] Coale - specjalny wysłannik prezydenta USA - i powiedział, że zna mój stan zdrowia. Wtedy zrozumiałam, że znalazłam się na liście osób do uwolnienia, prawdopodobnie właśnie z tego powodu.

Więźniarki polityczne zostały przewiezione na Litwę. Stamtąd Halina Derbysz trafiła do Polski, w towarzystwie polskiej dyplomatk. Jak opowiedziała, białoruscy aktywiści - za pośrednictwem Związku Polaków na Białorusi - zwrócili się do ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego z prośbą o wpisanie Haliny na amerykańską listę osób przeznaczonych do uwolnienia - jako obywatelki Polski.

- Jestem bardzo wdzięczna amerykańskim i europejskim dyplomatom za tę wolność. Ocalili mnie nie tylko od kolonii karnej, ale po prostu uratowali mi życie. Biorąc pod uwagę mój stan zdrowia i warunki, w jakich musiałam żyć, długo bym tam nie wytrzymała.

Obecnie kobieta przebywa w Białymstoku. Po zwolnieniu nie oddano jej białoruskiego paszportu - otrzymała jedynie tymczasowe zaświadczenie, którego ważność wygasła 4 października. Z kolei polski paszport jej krewni przekazali konsulowi, gdy Halina wciąż przebywała w kolonii. Teraz wolontariusze pomagają jej urządzić się w Polsce i przygotować nowe dokumenty.

- Mimo że jestem na wolności, wciąż stoję przed ogromnymi trudnościami. Wyrzucili mnie z kraju z niczym - bez dokumentów, bez rzeczy. Uważam to za podwójną karę: najpierw pozbawiono mnie wolności, a potem ojczyzny. W wieku 64 lat muszę zaczynać wszystko od nowa. Ludzie mnie ubrali - dziękuję im za to. Ale nie mam gdzie mieszkać.

Kobieta ma nadzieję, że będzie mogła ubiegać się w Polsce o mieszkanie socjalne.

WOJCIECH SMARZOWSKI: WIERZĘ W TO, ŻE FILM MOŻE COŚ W NAS ZMIEŃCIĆ, BO INACZEJ NIE WYCIĄGAŁBYM KAMERY Z SAMOCHODU

Rozmowa z Wojciechem Smarzowskim, reżyserem filmowym i teatralnym, scenarzystą oraz operatorem filmowym. 7 listopada do kin w całym kraju wejdzie najnowszy film autorstwa artysty, zatytułowany „Dom dobry”, poświęcony problemowi przemocy domowej. W produkcji główne role zagraли Agata Turkot, absolwentka Szkoły Filmowej w Łodzi oraz Tomasz Schuchardt

Dariusz Pawłowski

Trudno zrozumieć, dlaczego pana nowy film, „Dom dobry”, nie okazał się dość dobry dla jurorów Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, ale można pominąć tego tytułu w werdykcie potraktować symbolicznie, jako obraz pana relacji z tak zwanym środowiskiem. Czy postawa artysty osobnego, stojącego nieco obok rozmaitych rozgrywek i działań promocyjnych, to wybór czy konieczność?

Startuję w indywidualnej dyscyplinie i nie wiem, jak postępują inni reżyserzy. Ja robię swoje, i tyle. I w taki sposób, jeżeli pan pozwoli, wolałbym zamknąć odpowiedź na to pytanie. Ale dziękuję za takie ustawienie mojej sytuacji, jakie zasugerował pan w pytaniu, bo jest mi ono bliskie.

Czy do takiej autonomiczności właśnie przygotowywano w Łódzkiej Szkole Filmowej, którą ukończył pan w 1990 roku, co warto podkreślić, na Wydziale Operatorskim? Do Szkoły Filmowej w Łodzi udało mi się dostać dopiero za trzecim razem, na wspomniany Wydział Operatorski. Ja chyba wtedy kombinowałem w ten sposób, że na operatorskim było dziesięć miejsc, a na reżyserii tylko osiem, no to łatwiej się było dostać na operatorski, prawda? Dobrze, trochę żartuję, rzecz jasna... Po pierwszym roku już wiedziałem, że się nie nadaję na operatora, bo w tej materii trzeba podążać za technologią i operator musi czekać na tekst, na to, czy wybierze go

reżyser. A mnie już zaczęło interesować samodzielne robienie filmów. Na trzecim roku napisałem scenariusz „Małżowiny”, tworzyliśmy też wtedy z Łukaszem Kośmickim scenariusz „Domu złego” – on jeszcze wtedy wyglądał zupełnie inaczej niż to, co potem oglądaliśmy na ekranie. To wszystko sprawiło, że wiedziałem już, że chcę robić filmy jako reżyser. To była długa droga, ale w końcu się udało.

Czy wiedza zdobyta na Wydziale Operatorskim pomogła w pracy reżysera?

Zaraz po skończeniu Szkoły Filmowej mówiłem, że dała mi ona dwie rzeczy: możliwość oglądania filmów w kinie, bo oglądałem nierzadko po dwa-trzy filmy dziennie oraz kort tenisowy, którego teraz w Szkole już nie ma. Jednak z perspektywy czasu wiem, że ta uczelnia dała mi więcej. Przede wszystkim mogłem się kontaktować z ludźmi, którzy podobnie jak ja postrzegają świat. A z wykładów, które początkowo mi gdzieś uciekły, pozostało dużo rozmów o znaczeniach, a na nich mi w kinie zależy najbardziej.

W okresie studiów spędził pan w Łodzi sześć lat. Jak postrzegał pan wtedy nasze miasto?

Trudno było zostać jego fanem. Mieszkałem przy ulicy Piotrkowskiej, przy Parku Słedzia, na Dąbrowie i na ulicy Radwańskiej. Lata spędzone w Łodzi spowodowały, że jestem zawodowo w tym miejscu, w którym jestem. Chodzi

nie tylko o Szkołę Filmową, ale jeszcze bardziej o ludzi, z którymi spotkałem się i w uczelni, i w kinie Cytryna, czy w Siódmkach. Oni mieli tak samo narąbane w głowie jak ja i podobnie jak ja postrzegali świat. Później, nawet jak bywałem w Łodzi, to pracowałem, nie miałem możliwości przyglądania się miastu. Dopiero niedawno, odsłaniając swoją gwiazdę w Łódzkiej Alei Gwiazd na Piotrkowskiej, mogłem dostrzec, jak bardzo od tamtego czasu Łódź się zmieniła.

Już pana pierwszy kinowy film, „Wesele” z 2004 roku, wywołał wiele emocji, a kolejny, „Dom zły” z roku 2009, ustanowił pana pozycję jednego z najważniejszych i najsilniej oddziałujących współczesnych polskich reżyserów. Powiedział pan jednak przed chwilą, że ten scenariusz powstał jeszcze na studiach. Co go zainspirowało?

Z Łukaszem Kośmickim znaleźliśmy artykuł, chyba w piśmie „Detektyw”, opisujący historię rodziców, którzy przez pomyłkę zabili własne dziecko. Ja jeszcze nie wiedziałem o sztuce „Niespodzianka” Karola Huberta Rostworowskiego, ale jak kręciłem „Małżowinę”, to nasz scenariusz przeczytał Marcin Świetlicki i wskazał nam właśnie na ten dramat z okresu międzywojennego. Udałem się do biblioteki i zobaczyłem, że rzeczywiście, ten element historii opisanej w gazecie pochodzi z „Niespodzianki”. Ale uwaga, kiedy byłem z „Domem złym”

w Łowiczu, okazało się, że chyba w 1880 roku niejaki Tarczyński napisał tę samą historię jeszcze przed Rostworowskim. Nie wiem więc komu tak naprawdę ten pomysł ukradliśmy. Próbowaliśmy też odnaleźć autora tekstu w „Detektywie”, ale nie udało się. I ów mord dokonany przez rodziców przez pomyłkę na własnym dziecku był punktem wyjścia scenariusza, nie mieliśmy jeszcze wątku współczesnego. Potem długo nad tym tekstem pracowaliśmy, wiele zmienialiśmy, jednocześnie pisaliśmy scenariusz do filmu „Sezon na leszcza”, który zrealizował Bogusław Linda. W pewnym momencie do „Domu złego” dodałem sekwencje rozgrywane się w okresie wczesnego Jaruzelskiego. Miałem dużo czasu, żeby nad tym tekstem myśleć, a moją szkołą reżyserską było pierwsze „Wesele”.

Czego się pan wtedy nauczył?

Pisałem scenariusz, bardzo się starałem, zrobiłem to najlepiej, jak potrafiłem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że praca nie zastąpi talentu. Producenti też nie do końca wiedzieli, czy ten tekst jest dobry, czy nie. Zaaranżowali spotkanie z Kazimierzem Kutzem, który był wtedy w Sejmie. Kutz podszedł do stolika, przy którym siedzieliśmy, powiedział o scenariuszu: „Świetny, kręcicie”. I poszedł. Wiedzieliśmy więc, że mamy niezły tekst, ale kiedy weszliśmy w zdjęcia, okazało się, że połowę kwestii, które ja tak wypracowałem, aktorzy mogą

Polska
Poniedziałek, 13.10.2025

po prostu zagrać, zamiast je wypowiadać. Później w montażu jeszcze część kwestii powyrzucaliśmy. Na początku odebrałem to tak, że jestem mało zdolny, zanim zrozumiałem, że film to robota zbiorowa. Że trzeba się otaczać ludźmi, którzy podobnie postrzegają świat i czerpać od nich. Chodzi przede wszystkim o aktorów, bo to są moje – przekazam za słowo – narzędzia, ale też o najbliższą ekipę. I teraz, gdy to już rozumiałem, to wiem, że bardzo lubię idąc na plan, przygotowując scenę, nie wiedzieć wszystkiego. To znaczy, muszę wiedzieć, do czego zmierza historia, o czym opowiadam, jaki będzie koniec i ostatnie ujęcie. Natomiast jeżeli będę wiedział z góry wszystko, to może już powinienem przestać robić filmy. Na razie zderzam się z aktorami i każdy z nich coś dokłada do mojej historii. Czasem jest tak, że nie zgadzam się i robię po swojemu, a czasem, kiedy nie wiem, to robię proponowany wariant. I sprawdzam, co lepiej pasuje. Nagadałem się teraz... A wszystko zamyka się w tym, co już powiedziałem, że film jest robotą zbiorową.

Czy to oznacza, że każdy kolejny film robi się łatwiej, czy też to, co zrobiło się wcześniej, nie ma znaczenia przy nowym projekcie?

Za każdym razem jest inaczej. Wynika to z tematu, ale ja też się zmieniam. Na przykład ten film o miłości z małym minusem, czyli „Dom dobry”, troszkę odchorowałem. Żeby jednak było jasne – lubię robić to, co robię.

Dlaczego pan odchorował?

Robiłem już takie bardzo brutalne sceny w kinie, tylko że one były umiejscowione w czasie przeszłym, w historii. To była jakaś klamra, prawda? A teraz zrobiłem historię o tym, co się dzieje tu i teraz, za ścianą. I to było dla mnie zaskakująco bolesne, nawet, jeżeli wiedziałem, że to będzie ciężkie kino. Zacząłem od wyboru do głównej roli Agaty Turkot, z którą pracowałem przy drugim „Weselu”, z żydowską literką w tytule. Ona grała wtedy w drugim planie, ale ja wiedziałem, że chcę z nią zrobić kolejny film. I kiedy zastała mnie pandemia, zawieszony byłem pomiędzy „Weselem” z żydowską literką w tytule i „Słowianami”, których jeszcze nie zrobiłem, ale wierzę, że zrobię. W tym zawieszeniu pomyślałem sobie, że trzeba zrobić kameralne kino, którego akcja toczy się w czterech ścianach. Pojawiło się też wtedy dużo artykułów o domowej przemocy, bo ona się w pandemii nasiliła. Zacząłem czytać artykuły i książki na ten temat, spotykałem się z ofiarami prze-

mocy. Doszło w końcu do tak zwanych zdjęć próbnych i nie zapraszałem już innych aktorów niż Agata Turkot. Otczyłem ją jednak kilkunastoma, moim zdaniem, świetnymi aktorami. Nie sprawdzałem, czy oni potrafią grać, przyglądałem się innym kwestiom. Po pierwsze, jak różna byłaby relacja na ekranie, gdyby partner był starszy, młodszy, mniej lub bardziej przystojny. Drugą sprawą było, który z aktorów dawał Agacie największe poczucie bezpieczeństwa. To też było dla mnie nowe w mojej pracy. Później, na planie, ograniczyliśmy ekipę, komunikację radiową, światło. Operatorką kamery była Ola Kamińska, najbliższej aktorów. Ja nie mnożyłem dubli, miałem w nosie, czy coś jest ostre, czy nie. Mam doświadczenie, wiem, że coś mogę wyciąć, zmontować. Próbowaliśmy zapewnić komfort aktorom, co w tym filmie było trudne. Zobaczycie na ekranie.

W jaki sposób reagowaliście na trudne sceny?

Patrzyłem w buty. Ujęcie, stop kamera i patrzyłem w buty. Nie tylko ja, bo cała ekipa też patrzyła w buty. Wszyscy byliśmy emocjonalnie bardzo związani z aktorami, bo tak naprawdę, ich to kosztowało najwięcej.

To jest ciężar, który się zabiera z planu?

No tak, ale za chwilę będę przed panem płakał albo się użalał. Lubie robić to, co robię. Wiedziałem, w co się pakuję. Czytałem na ten temat, spotykałem się z osobami, które zostały dotknięte przemocą, wysłuchałem ich historii. To było coś innego niż czytanie, kiedy patrzyłem w oczy tych ludzi i widziałem ich emocje. I wtedy wiedziałem, że ja muszę zrobić ten film.

To były osoby, które wyszły z przemocy?

Były w trakcie wychodzenia albo już wyszły z przemocy.

Czy tak mocno dotykając realizmu, trochę jak dziennikarza i robiąc takie filmy, wierzy pan jeszcze w człowieka?

Ojej, wierzę w to, że film jednak może coś zmienić, bo inaczej bym nie wyciągał kamery z auta. I czasem nie chodzi o to, że film musi być dobry. Bywa, że temat jest tak istotny, tak pokazany, że ktoś poczuje potrzebę chociażby porozmawiania z samym sobą. Oczekuję od kina poruszenia i emocji. I takie filmy chciałbym robić. Wydaje mi się, że czasem mi się to udaje.

Czy już odbyte projekcje „Domu dobrego” pokazały panu, że widz może się w tym filmie przeżyć?

Nie chcę uogólniać. Ale po projekcjach filmu na



FOT. KRZYSZTOF SZYMCAK

Wojciech Smarzowski na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi, podczas odsłaniania gwiazdy artysty w Łódzkiej Alei Gwiazd

festiwalu Gdyni, gdzie wiadomo, wszystko się dzieje w przeciagu i ludzie się mijają, podeszło do mnie w sumie z dziesięć kobiet i opowiedziało swoje historie: kopnął mnie, kiedy byłam w szóstym miesiącu ciąży, rozstałam się z nim w walce. To znaczy, że ten film u tych osób nie tylko jakoś zarezonował, ale nie mogły być one przeciwko niemu, bo by do mnie nie podchodziły. Dostałem szybką bombę emocjonalną, ale to oznacza, że dobrze, że ten film powstał.

Czy w trakcie realizacji „Domu dobrego” miał pan gotowe sceny, które uznał za zbyt mocne i które nie weszły do filmu? Bo mogły być dla widza zanadto szokujące?
Do pewnego stopnia to się zdarzało, choć może nie chodziło o to, że to były zbyt szokujące sceny. Moja metoda realizacji polega na tym, że ja robię sceny w jednym dublu po to, żeby aktorzy wywalili emocje raz, a nie pięć razy. Wtedy ten jeden dubel jest dłuższy i potem na stole montażowym decydujemy, które fragmenty wchodzą, a które nie, by zachować płynność całości. Tylko ja miałem tę świadomość wcześniej, nie jest tak, że wpadłem na to w montażowni. Taką obrałem zasadę, tak się dogadałem z aktorami, że oni wywalą bebecchy raz, może dwa, ale nie będziemy powtarzać tego kilkanaście razy.

Jak się pracuje z młodą ekipą? Czy na planie panuje większa otwartość na pańskie sugestie, czy to raczej pan czerpie coś od młodych ludzi?
Chyba nie widzę różnicy w pracy z młodszą czy starszą ekipą, pod warunkiem że wszyscy profesjonalnie podchodzą do swoich zadań. Ja generalnie jednak w dużej mierze pracuję z ludźmi, z którymi pracowałem już wcześniej, część z nich miała może trochę inne funkcje. Znamy się więc od jakiegoś czasu, dużo ze sobą rozmawiamy. Nie oznacza to, że mamy się poklepywać po plecach, tylko po prostu sobie ufamy. Jeszcze raz podkreślę, film jest sprawą zbiorową. Jedyną zmianę jaką widzę, to ten nieciekawy fakt, że ja jestem starszy. Od młodych ludzi biorę energię, ich percepcję, postrzeganie świata. To jest dla mnie bardzo ważne, w tym zakresie zachowuję czujność. A czy ja coś im daję? Może jakieś doświadczenie, także własny punkt widzenia, przekonanie, że warto się trzymać własnej drogi. Uczciwie się ze sobą dzielimy.

Spotkał się pan z opiniami, że przemocy w pana filmach jest za dużo, że stawia pan widza pod ścianą, że pewne rzeczy powinny zostać niedopowiedziane?
Tak, ale nie można zrobić filmu dla wszystkich. Ja mam taki, a nie inny temperament filmowy, moją bazą jest realizm. Obejrzałem filmy o prze-

mocy, na przykład „Żonę policjanta”, gdzie tak naprawdę jest tylko jedna scena przemocowa i jest to świetny film. Ale ja uznałem, że to trzeba opowiedzieć na mój sposób. To dobrze, że są w kinie różne historie, różnie opowiadane filmy, widzów też mamy bardzo różnych. Każdy przepuszcza opowiadaną mu historię przez własną wrażliwość i albo w nią wchodzi, albo się odcina.

Wspomniał pan o projekcie „Słowianie”. Ma to być najdroższy film w historii polskiej kinematografii. Na jakim etapie jest ten projekt?
Szukania pieniędzy i konsultowania tekstu z historykami. Tak naprawdę nie wiadomo, gdzie był chrzest Mieszka. Czy w Gnieźnie, czy w Ostrowie Lednickim, czy w Poznaniu. Zadaję historykom bardzo praktyczne pytania. Gdzie stał warsztat tkacki, jak zbudowano most w Ostrowie Lednickim. Moją bazą jest realizm, więc muszę ten świat najbardziej wiarygodnie pokazać. Muszę wiedzieć na przykład co robili z mieczami, kiedy wchodzili do sali, gdzie było bardzo ciasno. Zakładam, że nosili miecz jak dziś krawat. Ale co się działo z tarczami, co z hełmami, gdzie była zbrojownia? Zastanawiamy się nad stanem uzębienia naszych bohaterów. Większość aktorów ma teraz szuflady tureckie, a wtedy już chyba Wikingowie śmiali się, że nie jest u nas za dobrze z zębami.

Czy jest łatwiej ze znajdowaniem funduszy, niż to było na przykład w przypadku „Wołynia”?
To jest pytanie do producentów, nie do mnie, bo ja nie jestem od funduszy. Ja się zajmuję przedstawianiem świata. A producent Wojtek Gostomczyk zajmuje się szukaniem pieniędzy. I to wszystko jest w trakcie.

Powiedział pan, że jako reżyser robi swoje. Czy to oznacza też, że krytyka w ogóle pana nie dotyka?
Po pierwszym filmie, „Weselu”, przeczytałem „Gazetę Wyborczą” i dostaliśmy tam konkretną zjebkę od dziennikarzy, których znałem. I pomyślałem sobie: po co ja mam to czytać? Jeżeli kończę film, to każdy element znam „po imieniu”. Ale jak już oddaję film widzom, to się nie cofam, nie patrzę wstecz. Nie mam mediów społecznościowych i nie czytam o sobie. Oczywiście, nie uda się nic nie wiedzieć, nie słyszeć, co ludzie mówią, ponieważ się spotykamy, rozmawiamy, każdy coś tam powie. Tylko że ja próbuję sobie to bardzo dozować.

„Słowianie”, wiadomo, duży projekt, pewnie jeszcze sporo czasu upłynie, zanim będzie go można zrobić...
O, tak.

Ale czy nosi pan w kieszeni jeszcze jakieś inne tematy? Myślę o kameralnym filmie o miłości. Akcja dzieje się

w domu starców. I jest to opowieść o eutanazji po polsku.

W jakim zakresie, pana zdaniem, zmieniliśmy się na przestrzeni lat od „Domu złego” do „Domu dobrego”? Mocniej: Jak zmieniła się Polska? Czy nowy film jest też odpowiedzią na tę zmianę?
O Polsce nie chcę mówić tak szeroko, na pewno natomiast ewoluowało samo pojęcie przemocy domowej. W „Domu złym” mamy zagadkę kryminalną w epoce późnego Gierka i wczesnego Jaruzelskiego. Jest tam scena, w której Dziabas uderzył swoją żonę i nikt wtedy, kiedy ten film powstał, nie mówił, że to jest jakaś przemoc. Po prostu facet napił się, był zazdrosny i uderzył. A wiadomo z kontekstu, że nie pierwszy raz ją uderzył. W jakichkolwiek opiniach na temat tamtego filmu problem przemocy domowej w tym kontekście w ogóle nie był poruszany. Natomiast teraz już jest tak, że byśmy o tym mówili. To się mocno zmieniło. Jak mnie, na przykład, nauczycielka w podstawówce lała linijką czy wyzywała od debili, to jej chodziło o to, żebym ja się lepiej uczył, to były środki wychowawcze. Wiedziałem też, gdzie pasek był w domu. Ale kto by wtedy odważył się nazywać to przemocą...

A czy dla takiego twórcy, jak pan, istnieje jakieś tabu? Jest temat, którego by pan nie dotknął?

Nie wiem, co szczerze na to odpowiedzieć. Moja rzeczywistość wygląda tak, że mam w szufladzie parę projektów, dotyczących różnych trudnych tematów. Ale powstawanie filmu zajmuje dużo czasu, dlatego, że ja piszę scenariusz i z nim znajdują się pieniądze, zanim nakręcimy zdjęcia i dojdzie do postprodukcji, to mijają trzy-cztery lata. Powiedziałem już o dwóch projektach – kameralnym i wielkiej produkcji. Ale nie wiem, jakim człowiekiem będę za rok, dwa, trzy, jaki temat mnie wtedy zainteresuje, co zainspiruje do napisania kolejnego tekstu, co będzie się działo w Polsce i na świecie.

Może będziemy znowu kręcić filmy powojenne...
Oby nie.

Myślał pan chociaż raz o tym, żeby tak przewrotnie zrobić w kinie coś lekkiego?
Zawsze od tego wychodzę. Zawsze próbuję zrobić miły film o miłości, kameralny, a potem kamera pędzi nad miastem, są setki statystów, no i ktoś wyłączy światło.

Pisze pan swoje filmy mocnym charakterem pisma, sam tworzy scenariusze, wyjątkiem była „Róża”, zrealizowana według scenariusza Michała Szczębnica. Czy dziś mógłby pan podjąć cudzy pomysł, pracować nad scenariuszem nie własnego autorstwa?
Myślę o tym, dlatego że pisanie zajmuje mi dużo czasu, zwłaszcza jeżeli dotykam tematu, o którym mało wiem i muszę zrobić dokumentację. Jedynym filmem, który mnie nic nie kosztował pod względem scenariusza, była „Drogówka”. Jeździłem autem, robiłem program o policji, napisałem to bardzo szybko. Ale jeżeli wchodzę w jakąś historyczną sytuację, to opracowanie wszystkich składników jest czasochłonne. Wracając do pytania, nie wiem, ile przede mną lipców jeszcze, ale myślę, że mógłbym skrócić ten proces biorąc gotowy tekst, w którym bym pewnie coś jeszcze poprzestawiał lub podokładał. I nawet chyba zacząłem już o tym rozmawiać z różnymi ludźmi.

I teraz ma pan swoją gwiazdę na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi? Jakie z tym wiążą się emocje?
To super, że stało się to w Łodzi, to jest oczywiście miłe. Aczkolwiek to taki etap, że za chwilę pojawiają się napisy: w życiu na Ziemi udział wzięli... Jest w tym wymiar podsumowywania. Przyjechałem na uroczystość do Łodzi, której nie poznaję, otrzymałem wiele fantastycznych bodźców. To jest naprawdę fajny moment w życiu. Najzwyczajniej w świecie się cieszę.

NIE WCHODZĘ W ROLĘ INKWIZYTORA

O „niemym wole”, sztucznej inteligencji i diabłach na główce szpilki w rozmowie z ks. prof. Piotrem Roszakiem, teologiem z UMK, który jest w czołówce cytowanych naukowców na świecie

Adam Willma

Jesteśmy na świeckiej uczelni. Za oknem gmach Seminarium Duchownego, ale to akurat tutaj znajduje się najlepszy wydział teologii w Polsce. Prześcignęliśmy zarówno KUL, jak i Uniwersytet Papieski. Co za siły nieczyste odwróciły porządk? Mam nadzieję, że żadne [śmiech]. To efekt długiej pracy i jasnego planu. Jeszcze za kierownictwa pierwszego dziekana ks. prof. Jerzego Bagrowicza układ z władzami uczelni był jasny: obowiązki jak wszystkie pozostałe wydziały bez specjalnego traktowania. Do tego badania, które będą miały międzynarodowe przełożenie. Więc od początku poprzeczka była wysoko ustawiona i trzeba było do niej doskoczyć. To było mobilizujące.

**Pamiętam doskonale dyskusje w tamtych czasach: Teologia na uniwersytecie? Nauki pa-
cierza i liczenie zastępów
anielskich wśród poważnych
dziedzin akademickich?**

Myślę, że udało nam się odłamać przez te lata, czym naprawdę jest teologia i jaką wartość ma w życiu pojedynczego człowieka i społeczeństwa. Owszem, prowadzimy badania, które dotyczą historii myśli chrześcijańskiej i zastanawiamy się, dlaczego przyniosła ona owoc w postaci kultury jaką znamy, z wolnością i sprawiedliwością? Przyglądamy się również, jak religijność wpływa na dobrostan człowieka, a wiara na jakość życia. Teologia to nie przeszkolenie modlitewne, to nauka o sensie. Zatrudniliśmy kadrę z doświadczeniem na świetnych uczelniach w Hiszpanii, Włoszech, Austrii i Francji. Od początku było wiadomo, że idziemy z nową teologią, która przełamuje schematy dominujące na polskim „rynku teologicznym”. Chcieliśmy zrobić coś rzeczywiście pożytecznego, a jednocześnie światowego, myśleć globalnie, ale działać lokalnie. Dlatego prowadziliśmy badania dotyczące kultury pomorskiej, dziedzictwa religijnego, a jednocześnie stawialiśmy sobie pytania dotyczące człowieka w kontekście najnowszych technologii.

Pewien znajomy pastor mawia, że wydziały teologii najlepiej byłoby pozamykać na cztery spusty. Bo wierzący ludzie, którzy do nich trafiają, wracają albo jako heretycy, albo ateści.



Ksiądz profesor Piotr Roszak

Rozumiem ironiczne przesłanie, ale uważam, że teologia integruje wierzących, a jednocześnie otwiera w nich poznawczą ciekawość. Wiele innych wydziałów uczy dziś, „jak” coś zrobić. My pytamy „po co”? Żeby odkryć sens, trzeba mieć poczucie wartości. Nie jesteśmy tu po to, aby podważać zdobycze nauki, ale po to, aby łączyć doświadczenie duchowe z refleksją racjonalną i naukową. Owszem, takie połączenia skutkują niekiedy „eksplozją” - przypadkami teologów, którzy nam „odjeżdżają”. Ale efekt integracji jest znacznie silniejszy. Średniowieczna teologia zawsze szukała całości; nie chodzi o układankę z wygodnie dobranych elementów, tylko o spójność wszystkich elementów. My jesteśmy laboratorium, w którym tej spójności szukamy.

Obliczyliście już w tym laboratorium, ile diabłów mieści się na główce szpilki?

Ha! Ten żart ma solidne korzenie. Chodziło o naturę bytów duchowych. Dziś te pytania wracają na konferencjach w Oxfordzie i Cambridge - choć brzmią inaczej: co znaczy istnieć bez materii? Gdy przejrzyć tytuły konferencji w tych angielskich uczelniach, zobaczymy choćby temat zmarłych wstania - nie tylko w perspektywie historii dogmatu,

lecz jako pytanie: ile rodzajów materii istnieje? Paradoksalnie odkrywamy dziś właściwości materii, które zbliżają nas do intuicji średniowiecza. Pytania są te same, choć stawiane innym językiem. Zmieniamy język, ale problem zostaje.

A może wystarczy poprosić sztuczną inteligencję, żeby przewertowała Stary i Nowy Testament oraz pisma ojców Kościoła i w ciągu paru minut ułożyła wszelkie teologiczne wykładnie?

Przekonujemy się każdego dnia, że sztuczna inteligencja potrzebuje systemu naprowadzającego i nigdy nie będzie obiektywna w tym sensie, że sama z siebie dokona trafnego wyboru. Zawsze zapyta: „Z jakiej perspektywy?”, „Co chcesz uzyskać?”. Jest trochę maszyn do spełniania życzeń: co zechcesz, przygotowuje, spójnie to formatując. Widzimy też niebezpieczeństwa: używanie AI w innych celach niż poznawcze, jak choćby zastępowanie relacji, wpływ na życie rodzinne i społeczne, automatyzm decyzji i związana z tym niejasność, problemy z zaufaniem oraz uzależnienia. Badamy to na naszym wydziale i staramy się pomagać ludziom, wdrażając działania terapeutyczne. Dlatego założyliśmy nawet międzywydziałowe centrum - razem z prawnikami i filozofami

- żeby pomóc lepiej rozumieć technologię i wskazywać model współpracy, który nie zniszczy ludzkiej kreatywności. Zawsze też pytamy, czy to naprawdę inteligencja, czy symulacja inteligencji. Jeśli zbyt szeroko się nią wyręczamy, to bierzemy nią jako kredyt, który kiedyś trzeba spłacić.

Mleko się wylało. AI występuje już nawet jako autorka książek z zakresu teologii.

I w pewnym sensie jest teologiem idealnym - ułożył każdemu taką, jaka mu pasuje. Dlatego chcemy powracać do dawnej kultury argumentacji, jak w średniowieczu - wielkich dysput, w których ścierały się racje, a nie emocje. Teologia nie jest ideologią; to poszukiwanie sensu w oparciu o obiektywne odpowiedzi. Jak w gramatyce: bez zasad będzie bełkot. Trzeba bronić „gramatyki” ludzkiego życia i dyskursu.

Gdyby miał ksiądz zabrać na bezludną wyspę jedną książkę teologiczną...

To byłoby komentarz biblijny Tomasza z Akwinu.

Litości, a nie św. Augustyn? Tam przynajmniej „się dzieje”, są „momenty” i zwroty akcji.

Augustyn jest znakomity [śmiech], ale Tomasz integruje wszystkich, którzy byli przed nim, dodaje własną syntezę i wskazuje kierunek. Wziąłbym przewodnik, a nie tylko zapis przeszłości.

Bohaterem talk-show raczej by dziś nie został.

Miał wiele sugerujący przydomek „niemy wół” [śmiech], ponieważ dużo myślał i niewiele mówił. Z wieloma się nie zgadzał, ale pokazywał właściwą drogę i uczył sztuki myślenia: formowania relacji, w których szukamy prawdy - nawet jeśli ta prawda jest u muzułmanów czy Żydów. Rozmawiał z nimi, czasem wbrew nastrojom własnego środowiska.

Łagodnie ksiądz to ujął.

Św. Tomasz był odważny. Fakt, że zaraz po śmierci został potępiony przez biskupa Paryża za rzekome niezgodności z chrześcijaństwem (co potem szybko odwołano), pokazuje, jak wyprzedzał epokę. Nie był „strażnikiem” gaszącym herezję - raczej tym, który mówił: idźmy dalej, skoro rozum jest darem Boga, powinniśmy go słuchać.

Zdarza się księdzu łapać za głowę podczas słuchania kazań?

Niestety, zdarza się. [Śmiech] Ale nie chciałbym nigdy wchodzić w rolę inkwizytora. Rozmawiam po bratersku. Na przykład: modlimy się „za duszę” czy „za człowieka”? Z teologicznego punktu widzenia to niebagatelna różnica. Zła teologia potrafi narobić szkód - szczególnie gdy skupia nas na pobocznych sporach.

Wyniki badań socjologicznych w populacji ludzi wierzących, muszą chyba jeździć teologom włosy na głowie. Pośród ludzi określających się jako wierzący, większość nie wierzy w szatana, piekło...

A czasem nawet w zmartwychwstanie! Na pierwszym roku studentom często burzy się spokojny świat, w którym wyrosli. Celowo rozbijamy studentowi „uformowanemu w wierze” schematy, uprzedzenia, przyzwyczajenia, również te językowe. To może być dla nich szokujące, bo pewne narzędzia krytyczne, historyczne wprowadzają zamieszanie. Ale też stawiają ważne pytania. Przede wszystkim jednak każą przekraczać granicę popularnych ocen. Dopiero na kolejnych latach ten roztrzaskany obraz składamy część po części, na nowo. Staramy się przełamywać przekonanie, że Kościół naucza dogmatów, które zamykają wszelką dyskusję. Mówimy: dogmat to nie mur, ale okno, przez które masz spojrzeć na rzeczywistość. Dogmat to podpowiedź, że ta droga myślenia jest ślepa, niektórzy już nią szli i wrócili, bo nic na tej drodze nie ma.

Wychodzi ksiądz z tej swojej teologicznej szklanej wieży, a na zewnątrz szara rzeczywistość - Kościół widziany z perspektywy afer, chiwości, zbratania z politykami...

To prawda, ale taka tendencja do uogólnień jest dziś powszechna w życiu społecznym i dotyczy nie tylko Kościoła. Upraszczamy skomplikowane sprawy, żeby łatwiej sobie z nimi radzić. Ale to jest często szkodliwe choćby z tego powodu, że podważanie i wręcz wyśmiewanie systemów wartości, na których wychowały się wszystkie poprzednie pokolenia, przekłada się między innymi na zdrowie psychiczne młodych ludzi. To nie zabawa, mamy ofiary tego podważania

wszystkiego. A to wyprało nas z przekonania, że istnieją obiektywne prawda i dobro. Naszą receptą jest otwarcie się na głosy, które płyną z tradycji, szukanie rozwiązań całościowych, a nie leczenie objawów.

Łatwiej jest bronić Boga niż jego „funkcjonariuszy”?

Pana Boga na szczęście nie musimy bronić, bo potrafi obronić się sam, nie potrzebuje adwokatów. My, jako teologowie, mamy obowiązek udzielania odpowiedzi na pytania, które się rodzą z ludzkiego doświadczenia i poszukiwania sensu. Ale nie możemy się ograniczać tylko do tych ziemskich odpowiedzi. Musimy brać pod uwagę wszystkie głosy, które płyną także z zaskakujących stron, tych nadprzyrodzonych. Rolą teologa jest zachęcanie do rzeczy ważnych i wielkich, patrząc na świat z perspektywy Boga.

Gdyby miał ksiądz do dyspozycji tylko jeden tweet, aby oddać istotę chrześcijańskiej teologii, jak brzmiałoby te 280 znaków.

„Bóg jest miłością i prawdą, a my żyjemy dla czegoś więcej niż do ziemskie życie. Warto więc iść za Chrystusem, który pierwszy tam dotarł. Wierzyć w Boga, to zaufać w ten zaskakujący pomysł Boga”. ©©

CV

Prof. dr hab. Piotr Roszak

Teolog, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (Wydział Teologiczny) oraz profesor stowarzyszony Uniwersytetu Nawarry w Pampelunie. Członek zwyczajny Papieskiej Akademii św. Tomasza z Akwinu; redaktor naczelny „Scientia et Fides” i dyrektor serii „Scholastica Thoruniensia”. Autor kilku monografii i prac zbiorowych oraz ponad 140 artykułów; wielokrotnie nagradzany. W rankingu Elsevier & Stanford University znalazł się w gronie 2 proc. najczęściej cytowanych naukowców na świecie (2021). Wydział Teologii na UMK, który współtworzy, jest obecnie najwyższej notowany w Polsce (ranking Perspektyw).

Pierre Laval i francuska kolaboracja z III Rzeszą

15 października 1945 r., o godz. 12.32 stracono Pierre'a Lavalą, premiera Francji w okresie rządów Vichy. Jego śmierć była elementem rozliczeń z francuską kolaboracją z Niemcami

Mariusz Grabowski

Śmierć Lavalą, który umierał ze słowami: „Niech żyje Francja!”, rozpoczęła falę dyskusji o roli Francji w prohitlerowskiej polityce, o jej udziale w Holokauście, a także o samym Lavalu. Czy był winny, czy stał się kozłem ofiarnym, na którego można było zważyć „wszystkie winy, wszystkie grzechy, wszystkie świństwa”.

Lavalowska realpolitik

Dziś we Francji Laval ma spore grono obrońców, podkreślających że był postacią nie tyle kontrowersyjną, co wręcz tragiczną. Po upadku Francji w czerwcu 1940 r. zaangażował się w budowanie marionetkowej Republiki Vichy, kolaborując z Niemcami państwa zarządzanego przez Philippe'a Pétainą.

Przez lata sprzyjał okupantowi, nawet nie stwarzając pozorów antyniemieckiego oporu. W czerwcu 1942 r., w słynnym przemówieniu radiowym skierowanym do narodu francuskiego, zachęcał rodaków do zgłaszania się na roboty do Niemiec, a jednocześnie publicznie zapewniał o francusko-niemieckiej przyjaźni, życząc III Rzeszy sukcesów na frontach.

Wydawać by się mogło, że ocena jego działań powinna być oczywista. On sam obrał po wojnie typową dla tamtego okresu linię obrony, twierdząc, iż jego postawa „wymagała niezwykłego poświęcenia, a wszystko, co uczynił, robił w trosce o dobro Francji i Francuzów”. Brak kolaboracji z Niemcami - argumentował - miałyby bowiem ściągnąć na Francuzów zwiększone represje. Tymczasem Republika Vichy mogła się cieszyć sporym stopniem niezależności.

Francja podzielona

Laval został pochowany w nieoznaczonym grobie na cmentarzu w Thiais, ale już w listopadzie 1945 r. przeniesiono go na paryski Cmentarz Montparnasse. Był jedynym francuskim premierem, który został stracony. Ale wciąż o nim pamiętano, szczególnie w środowiskach prawniczych,

a jego rodzina bezskutecznie przez kilkadziesiąt lat starała się o zrewidowanie wyroku.

W lewicowo-liberalnym francuskim establishmentie postać Lavalą to jednak symbol kolaboracji. Zaś do obowiązków historyków, nie tylko francuskich, należy niejako rytualne potępienie jego poczynań. Prof. Jerzy Eisler w książce poświęconej marszałkowi Philippe'owi Pétainowi uznał Pierre'a Lavalą za „wcielonego diabła”.

Z kolei dr Jan Zamojski, autor „Francja na rozdrożu” dowodzi, że Francuzi mają bardzo wiele do zawdzięczenia Lavalowi. „Stworzył im »wygodną sytuację« w okresie okupacji, biorąc na siebie wszystko to, co najgorsze, jeśli chodzi o współpracę z Niemcami. A potem zapłacił najwyższą cenę”.

Powstaje Vichy

Przyjrzyjmy się zatem, jaka była skala francuskiej współpracy w hitlerowskich Niemczech. We wrześniu 1939 r., po ataku Hitlera na Polskę, Francja wypowiedziała Niemcom wojnę, słusznie nazwaną przez historyków „dziwną”. Trwała ona na Zachodzie aż do 1940 r. W tym czasie, przy dalszej bezczynności Francji, Niemcy zajęli Danię i Norwegię. 10 maja 1940 r. Hitler wkroczył do Holandii, Belgii i Luksemburga, a potem uderzył na Francję. Zaledwie trzy tygodnie wystarczyły, aby niemieckie natarcie przez Ardeny, osaczyło na północy znaczną część wojsk francuskich, wspieranych przez korpus brytyjski i armię belgijską.

Walki na północy Francji zakończyła dramatyczna ucieczka Aliantów z Dunkierki. Po spektakularnym zwycięstwie, Niemcy przystąpili do ostatecznej rozprawy z Francuzami. 22 czerwca 1940 r. Francja podpisała zawieszenie broni, które w rzeczywistości oznaczało kapitulację. Bliższe dwie trzecie państwa znalazło się pod okupacją.

Alle już 10 lipca zebrane w Tuluzie Zgromadzenie Narodowe Republiki Francuskiej udzieliło nadzwyczajnych pełnomocnictw premierowi, marszałkowi Philippe'owi Pétainowi, który na ich podstawie



Dwaj liderzy Vichy: marszałek Philippe Pétain i Pierre Laval, 1942 r. Obaj zostali skazani na karę śmierci, ale Pétain ostatecznie dostał dożywocie

ogłosił się „głową państwa francuskiego”. Ustawa o pełnomocnictwach została uchwalona przygniatającą większością głosów (569 głosów „za” przy 80 „przeciw” przy 30 wstrzymujących się). Okres Francji Vichy rozpoczął się od ogłoszenia neutralności w toczącej się wojnie.

Wylapać Żydów!

Konsekwentnie rzecz biorąc - już samo powstanie Vichy było formą kolaboracji państwowej. Miało to wymierne konsekwencje, np. oprócz regularnego opłacania i utrzymania armii hitlerowskiej, francuski przemysł pracował na rzecz III Rzeszy, a rolnicy dostarczali Niemcom kontyngenty żywnościowe w zamian za „obligacje”.

Do tego dochodzą masowe i dobrowolne wyjazdy Francuzów do pracy w Rzeszy (do których zachęcały władze Vichy). W praktyce Francja finansowała

w ten sposób w znacznej części wysiłek zbrojeniowy III Rzeszy. Kolaboracja obejmowała również zorganizowany współudział policji francuskiej, francuskiej milicji faszystowskiej, kierowanej przez Josepha Darnanda i cywilnej administracji francuskiej (szefował jej Rene Bousquet) w walce z Resistancją, czyli konspiracją zbrojną i w ustalaniu list proskrypcyjnych i organizowaniu deportacji Żydów do obozów.

W tzw. antyżydowskiej Obławie Vel d'Hiv 16 i 17 lipca 1942 r., ok. 9 tys. francuskich policjantów zatrzymało ponad 13 tys. Żydów w Paryżu i okolicach. Laval, postawiony przed sądem twierdził, że „życie Żydów niefrancuskich było okrutną ceną za pozostawienie w spokoju tych, którzy urodzili się i wychowali we Francji”.

W szeregach SS

Czym innym jednak kolaboracja państwowa, czym indy-

widualny wybór. Udział w machinie prohitlerowskiej wynikał nierzadko z ideologii. Np. francuskich ochotników nie brakło w Wehrmachcie i Waffen SS. Pierwszą francuską jednostką w szeregach niemieckiej armii był Francuski Legion Ochotniczy do Walki z Bolszewizmem, który powstał w lipcu 1941 r.

Żołnierze tego Legionu walczyli na froncie wschodnim, w rejonie Moskwy. W 1943 r. Niemcy wyrazili zgodę na formowanie francuskich jednostek SS. Najpierw była to Francuska Ochotnicza Brygada Szturmowa SS, która w 1944 roku przekształciła się w 33. Dywizję Grenadierów SS „Charlemagne”. Jej dowódcą mianowany został ostatni dowódca Francuskiego Legionu Ochotniczego płk Edgar Puaud.

Francuska Dywizja SS liczyła ok. 7,5 tys. żołnierzy. Najcięższe walki toczyła w rejonie Sanoka na Podkarpaciu oraz na Pomorzu. W rejonie Kołobrzegu starli się m.in. z polskimi żołnierzami z 4. Dywizji Piechoty 1. Armii Wojska Polskiego. W 1945 r. ostatni francuscy ochotnicy bronili Berlina przed Sowietami. Trzech z nich, przed upadkiem miasta, zdążyło jeszcze otrzymać najwyższe niemieckie odznaczenie bojowe - Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego.

Przypadek Brasillacha

Przypadkiem kolaboracji „ideowej” jest postać Roberta Brasillacha, poety, dramaturga, pisarza, krytyka literacki i publicysty, do wiosny 1941 r. jeńca oflagu Neuf-Brisach. Został z niego zwolniony w zamian za współpracę z rządem Vichy.

Zarzucono mu później, że w okresie od 25 kwietnia 1941 do lipca 1943 r. na łamach tygodnika „Je suis partout” opublikował fałszywe informacje i donosi na temat członków francuskiego ruchu oporu oraz osób pochodzenia żydowskiego i wzywał władze do ich rozstrzelania. Ale ocena Brasillacha jest trudna, bo wziął też udział w delegacji do Katynia, po której napisał reportaż obciążający odpowiedzialnością za zbrodnię katyńską Sowie-
tów.

W 1944 r. po wyzwoleniu Paryża został aresztowany i skazany za kolaborację na karę śmierci przez rozstrzelanie. Stracono go 6 lutego 1945 r. w Fort Montrouge koło Paryża, mimo że o jego ułaskawienie prosili m.in. Albert Camus, Paul Claudel i Jean Cocteau. „Po II wojnie światowej czystki były najpierw organizowane przez partię komunistyczną. Tyczy się to szczególnie czystek wśród ludzi pióra, gdyż komunistom chodziło o wycięcie prawicowej inteligencji, która zwalczała Front Ludowy, jego dziennikarzy i intelektualistów” - broni Brasillacha Philipp D'Hugues, autor jego biografii.

Pétain bezpieczny

Fakt francuskiej współpracy z hitlerowskimi Niemcami, choć oczywisty, zaczął być tuszowany od razu po zakończeniu wojny. Państwo francuskie propagowało wygodniejszą z politycznego punktu widzenia narrację o Wolnych Francuzach Charles'a de Gaulle'a walczących z Niemcami i Hitlerem.

Bardzo niewielu polityków poniosło też odpowiedzialność za swe zbrodnie. Rozstrzelano Pierre'a Lavalą, ale Marszałkowi Pétainowi wyrok śmierci zamieniono na dożywocie. Do końca swych dni utrzymywał, że „cokolwiek czyniłem - wszystko, czego nie akceptowałem bądź musiałem przyjąć z własnej woli lub pod przymusem - robiłem to dla waszego bezpieczeństwa. Nie mogąc być waszym mieczem, starałem się pozostać tarczą”.

O trudnej przeszłości i niezamazanych historycznych winach niech świadczy charakterystyczny przykład. François Mitterrand, którego trudno posadzić o sympatie prawicowe, jako prezydent Francji regularnie - w rocznice reżimu w Compiègne z 1918 r. - składał kwiaty na grobie Marszałka Pétainą. Przyłapany pewnego razu przez fotografów tłumaczył się, że oddaje hołd temu, który poprowadził Francuzów do zwycięstwa w Wielkiej Wojnie. Rzecz jasna nie rozwiązało to niczych wątpliwości.

pod PARAGRAFEM

W KINACH

„Lot nad kukułczym gniazdem”

Z okazji 50-lecia premiery 22 października do polskich kin wróci „Lot nad kukułczym gniazdem” Miloša Formana, na podstawie powieści Kena Keseya. Bohater filmu, McMurphy (Jack Nicholson), złodziej, szuler i chuligan, chcąc uniknąć więzienia, udaje psychicznie chorego. Jednak powoli przekonuje się, że szpital wcale nie jest dlań bezpiecznym azylem.

Polska
Poniedziałek, 13.10.2025

ZA TYDZIEŃ

Napad Piłsudskiego na carski pociąg pocztowy
Skok na carski pociąg pod Bezdanami był niezwykle i zuchwały. Pikanterii dodawał mu fakt, że kilku z rabusiów rządziło potem Polską.



Kim był człowiek, który przed laty mordował łódzkich gejów?

Natalia Lisowska
redakcja@polskatimes.pl

Siedem ofiar w ciągu pięciu lat. Zamordowanych mężczyzn łączyło jedno - byli gejami. Zginęli od ciosów nożem, uduszeni, zakatowani w swoich mieszkaniach.

Łódź. Miasto, które przeciętnemu Polakowi kojarzy się z „Ziemią obiecana” - i to raczej filmem Andrzeja Wajdy niż powieścią Władysława Reymonta - i szwaczkami. A więc z biedą, wyzyskiem, czynszówkami, ale też słynną Filmówką czy pałacami przy Piotrkowskiej, będącej swego czasu symbolem nieokiełzanego bogactwa i fortun upadających w mgnieniu oka. I to właśnie Łódź stała się sceną zbrodni dla seryjnego zabójcy - człowieka, którego nie schwytano do dzisiaj, którego bezskutecznie usiłowali odszukać najlepsi śledczy działający w Archiwum X, komórce powołanej do wyjaśnienia najtrudniejszych spraw kryminalnych, które wciąż czekają na rozwiązanie.

Na pikiecie na dworcu

Ofiar było siedem. Sami mężczyźni. Wszyscy szukający łatwych i szybkich znajomości na tzw. pikiecie na Dworcu Fabrycznym, miejscu, gdzie łódzcy (i przyjezdni) homoseksualiści zawsze mogli liczyć na udane łowy.

Stefan W. miał 37 lat, kiedy zginął, zamordowany 9 czerwca 1988 r. Ciało znaleziono osiem dni później w mieszkaniu przy ul. Grabowej. Ubrane, przygniecione przewróconą meblówką. Stefan W. przed śmiercią został skrupowany przewodem elektrycznym. Zginął od ciosów nożem, który sprawca zostawił na miejscu zbrodni.

Drugi był 40-letni Jacek C., geograf i przewodnik Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. On zginął rok później, 30 lipca. Ciało odkryto 4 sierpnia 1989 r. w mieszkaniu C. przy ul. Ernsta Thalmanna, której dzisiaj patronuje Stefan



Sprawę od początku śledziły media. „Dziennik Łódzki” z 16 lipca 1993 r. podawał przypuszczalny opis mordercy

kard. Wyszyński. Zabójca znów związał swoją ofiarę - tym razem sznurkiem do snopowiązałki i paskiem od spodni. Jacek C. udusił się - morderca wepchnął mu do gardła ścierkę, by nie słyszał było krzyków.

Już po wszystkich klucze do mieszkania zostawił na parapecie... I to tymi kluczami sąsiedzi otworzyli drzwi do mieszkania, z którego wydobywał się trudny do zniesienia fetor - było upalne lato, a ciało znaleziono już w stanie postępującego rozkładu.

Stał na przystanku

Do kolejnego zabójstwa doszło pół roku później - Bogdan J., 50-letni aktor i pracownik łódzkiej Estrady znany był przede wszystkim jako niezły konferansjer. Ustalono, że został zadżgany nożem najprawdopodobniej podczas stosunku seksualnego. J. zginął 21 listopada, ale ciało znaleziono dwa dni później. Oczywiście w mieszkaniu ofiary.

Kiedy kolejny raz okazało się, że zamordowany mężczyzna był homoseksualistą, śledczy znów pojechali na pikietę. Może tym razem jednak ktoś

się przełamie? Może tym razem ktoś jednak będzie coś pamiętał?

Przez moment wydawało się, że jest szansa - jeden ze stałych bywalców pikiety zapamiętał, że w dniu, w którym zginął J., widział go wcześniej z młodym chłopakiem. Blondynem o urodzie cherubina. Chłopak stał na przystanku autobusowym. J. zagał rozmowę, a kiedy podjechał nocny autobus, wsiedli do niego razem. I odjechali najpewniej do mieszkania aktora, w którym kilka godzin później zginął.

Ten trop jednak też nie przyniósł przełomu w śledztwie - przesłuchano 71 osób, w większości homoseksualistów odwieczających regularnie pikietę na Fabrycznym. I nie odnaleziono choćby najmniejszego śladu młodego blondyna o urodzie barokowego putta.

Udusił gołymi rękoma

Czwarty był 41-letni Andrzej S. Zginął od ciosów nożem 25 lutego 1990 r. Znów ciało odkryto kilka dni po zabójstwie - 5 marca. I znów okazało się, że ofiara była stałym bywalcem łódzkiej pikiety, ba, kiedy

w mieszkaniu znaleziono notes Andrzeja S., pełen nazwisk różnych mężczyzn, ich adresów i numerów telefonów, wydawało się, że może tu pojawić się choćby cień, który będzie można pochwycić.

269 przesłuchanych osób w niczym nie pchnęło do przodu śledztwa w sprawie seryjnego zabójcy mordującego w Łodzi homoseksualistów - bo nikt już nie miał wątpliwości, że nie są to przypadkowe, niepowiązane ze sobą zbrodnie. A policjanci wciąż zderzali się ze ścianą niedopowiedzeń, milczenia, niechęcią do ujawniania jakichkolwiek intymnych informacji.

Morderca z kolejnym atakiem czekał do lipca - ostatniego dnia tego miesiąca udusił gołymi rękami Jakuba M. On też miał 41 lat, a jego ciało odnalazł przypadkowy spacerowicz w lesie na terenie Główna. Świadkiem, pośrednikiem, tej zbrodni była matka ofiary - Jakub M., rolnik, po rozwodzie przeprowadził się do domu rodziców, ale miał osobne wejście do części, w której mieszkał. Tragicznego 30 lipca matka słyszała jakieś hałasy zza ściany,

ale syn często zapraszał gości, więc nie zabrała do niego, czy wszystko jest w porządku, czy nic się nie dzieje.

Kim on był?

Ostatni raz morderca zaatakował w 1993 r. - 11 lipca z jego rąk zginął 62-letni Kazimierz K. Ciało odkryto dzień później w mieszkaniu przy ul. Konstytucyjnej. Ofiara, zanim została uduszona, była katowana przez sprawcę.

Siedem ofiar w ciągu pięciu lat - do dzisiejszego dnia to największa niewyjaśniona seria zbrodni w historii polskiej kryminalistyki. Kim był sprawca? Myśliwym polującym na łatwe ofiary? Człowiekiem mordującym z nienawiści do homoseksualistów? Zabijał wybranych przez siebie mężczyzn w ich mieszkaniach, a więc wchodził do nich jako gość, bez choćby cienia niepokoju. Zabijał w trakcie stosunku seksualnego lub tuż po nim, wykorzystując oszołomienie ofiary - ale może impulsem do zbrodni było prawdziwe lub wymagowane poczucie wykorzystania?

Zabójca mordował gołymi rękoma albo tym, co miał pod ręką. Nożem, ścierką, kablem. Nawet jeśli działał impulsywnie, to już po zbrodni okazywał się zadziwiająco opanowany - okradał mieszkania, wynosząc z nich telewizory, magnetowidy, biżuterię, gotówki oraz inne cenne przedmioty. Kiedy umierała Polska Rzeczpospolita Ludowa i rodził się kapitalizm, sprzęt techniczny był drogi i skusiłby zwykłego złodzieja, pewnego, że łup da się spieniężyć.

Miał na imię Roman

Po śmierci pierwszej ofiary - Stefana W. - przesłuchano 136 osób. Bez żadnego efektu. Nikt nic nie widział, nie słyszał, nie pamiętał. A nawet jeśli coś słyszał, to nie zamierzał się swoją wiedzą dzielić z mundurowymi - pobicia czy napady osób homoseksualnych nie były wcale rzadkością, ale regułą było, że ofiary nie zgłaszały się na milicję, by nie narażać się na ko-

lejne szykany czy choćby kpiny.

Śledczy, którzy odnajdywali kolejne ofiary seryjnego zabójcy, założyli, że sprawca albo nienawidzi homoseksualistów albo mści się za doznana ze strony jednego z nich krzywdę. To mógł być jakiś trop.

Krótko po ostatnim morderstwie, popełnionym w lipcu 1993 r., policja dotarła do świadka, który dawał szansę na przełom w sprawie - homoseksualista, który odbył stosunek seksualny z młodym mężczyzną o imieniu Roman, zeznał, że spotkał się z przypadkowym kochankiem następnego dnia i razem poszli do mieszkania Kazimierza K., skąd wyruszyli z kolejną wizytą - na imieniny do znajomej przyszłej ofiary. Tam w gronie kilku osób bawiono się, ale nie śmiały albo speszony Roman wyraźnie odstawał od rozbawionego towarzystwa. Ostatecznie po paru godzinach Kazimierz K. wyszedł z chłopakiem, którego zabrał na imieniny do swoich znajomych, i zabrał go na noc do siebie do mieszkania. Następnego dnia już nie żył. Został pobity, a zginął wskutek uduszenia.

Niestety, nie udało się

Policjanci ustalili, że Roman, czy jakkolwiek miał on na imię, najprawdopodobniej pracuje w zakładach przemysłu bawełnianego Eskimo, mieszka z matką w rejonie ul. Rzgowskiej, ma 27 lat, 178 cm wzrostu, oczy piwne, włosy ciemnoblonde, które częściej na bok. Miał mieć też wytatuowaną kropkę przy lewym oku, oznaczającą, że znał grypsę, czyli język, jakim porozumiewa się subkultura więzienna, kropkę na krani - co z kolei było sygnałem dla wtajemniczonych, że lubi pić.

Miał mieć też wytatuowane litery na palcach lewej dłoni. Ale mimo takiego opisu, mimo adresu, miejsca pracy, portretu pamięciowego umieszczonego w prasie, mimo sprawdzania kartotek w poprawczakach i więzieniach, domniemanego zabójcy o imieniu Roman odnaleźć się nie udało.

Kolarstwo Pożegnalny wyścig brązowego medalisty olimpijskiego MAJKA POJECHAŁ PO RAZ OSTATNI

Łukasz Konstanty
redakcja@polskapress.pl

Jeden z rozdziałów historii polskiego kolarstwa właśnie dobiegł końca. W minioną sobotę w ostatnim wyścigu w karierze udział wziął Rafał Majka.

Polak w Il Lombardia zrobił to, co zazwyczaj w ostatnich latach należało do jego zadań. W odpowiednim momencie ruszył do przodu, by nieco rozciągnąć peloton i przygotować miejsce Tadejowi Pogacarowi, do decydującego ataku, dającego Słoweniowi zwycięstwo. Zabieg okazał się skuteczny, a faworyt rywalizacji przyjechał do mety ze sporą przewagą nad kolejnym kolarzem. Finiszujący na drugiej pozycji Belg Remco Evenepoel stracił do triumfatora minutę i 48 sekund, z kolei trzeci Australijczyk Michael Storer uzyskał czas słabszy o 3 minuty i 14 sekund. Majka w ostatnim w karierze wyścigu zajął 39. pozycję.

Pogacar, aktualny mistrz świata i Europy w wyścigu ze startu wspólnego, nie omieszkiał podziękować Polakowi za okres wspólnych startów.

- Jazda z nim była zaszczytem. Był moim starszym bratem, mentorem. Przez ostatnie lata wiele przeszliśmy. Pomógł mi stać się tym, kim jestem dziś. Będę za nim tęsknił - powiedział Słoweniec, który dojeżdżając w sobotnim wyścigu



Członkowie zespołu UAE Team Emirates w sobotę we Włoszech odpowiednio pożegnali Rafała Majkę

do mety wykrzyknął po angielsku w kierunku kamery: „Dziękuję, Rafa!”.

Kolarzowi za wieloletnie emocje podziękować postanowili także polscy kibice, którzy pojawili się przy trasie włoskiego wyścigu. Z kolei przed rozpoczęciem sobotnich zmagania został utworzony specjalny pożegnalny szpaler. Ostatni profesjonalny start z pewnością pozostanie dłużej w jego pamięci.

Podziękowania w kierunku członków i pracowników zespołu kolarskiego, z którym był związany, a więc UAE Team

Emirates, nie omieszkął skierować także bohater sobotnich zdarzeń.

„Nasza wielka podróż dobiega dziś końca! (...) To była przyjemność trenować, rywalizować i wygrywać największe wyścigi świata z najlepszymi kolegami z drużyny i personelem!” - to fragment wpisu opublikowanego na profilu Majki w mediach społecznościowych.

Doświadczony kolarz już jakiś czas temu zapowiedział, iż jest to jego ostatni sezon w karierze. Jak sam przyznawał, chciał zakończyć profesjonalne ściganie w momencie, gdy

wciąż będzie na szczycie i w dobrej dyspozycji.

Majka w trakcie sportowej przygody zanotował wiele sukcesów. Największym z nich był brązowy medal igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro w wyścigu ze startu wspólnego, w którym przez moment wydawało się, że może zdobyć nawet złoty krążek, przed metą zdołało go jednak wyprzedzić dwóch rywali.

Innymi godnymi odnotowania wynikami są triumf w Tour de Pologne w 2014 roku, a także etapowe sukcesy w Tour de France - łącznie trzy razy jako pierwszy mijał linię mety oraz dwukrotnie wygrywał klasyfikację górską.

Majka dobrze radził sobie także w Vuelta a Espana, w którym zajął trzecie miejsce w 2015 roku, a dwa lata później jako trzeci Polak w historii wygrał jeden z etapów (sukces powtórzył w 2021 roku). Z kolei w Giro d'Italia czterokrotnie w klasyfikacji generalnej plasował się wśród siedmiu najlepszych zawodników (w 2016 roku ukończył rywalizację na 5. pozycji).

- Dziękuję za wszystkie lata kibicom, za doping na trasie, piętnaście lat trzymania kciuków i pchania - to wypowiedź kolarza dla Eurosportu.

Majka zostanie także zapamiętany z powodu 23 startów w wielkich tourach - wyrównał w ten sposób rekord Sylwestra Szmydy.

UFC. Mateusz Gamrot bez szans w starciu z Oliveirą

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

SPORTY WALKI. Mateusz Gamrot przegrał z kretesem walkę wieczoru z Brazylijczykiem Charlesem Oliveirą podczas gali UFC w Rio de Janeiro. Pojedynek zakończył się w drugiej rundzie.

Dla polskiego MMA to była jedna z najważniejszych walk w ostatnich latach, a dla 34-letniego Polaka życiowa szansa, którą otrzymał niespodziewanie. Pierwotnie Brazylijczyk miał walczyć z urodzonym w Kazachstanie Rafaelem Fizievem, ale kilka tygodni przed pojedyńkiem doznał kontuzji kolana, co wykluczyło go z rywalizacji.

Fizieva miał zastąpić Francuz Benoit Saint-Denis, ten jednak ostatecznie nie zgodził się na walkę z tak krótkim czasem przygotowań. Polak z podjęciem decyzji nie wahał się ani chwili. „Gamer” zdecydował się przyjąć wyzwanie, mimo że nie miał za sobą pełnego okresu przygotowań. Dowalki w pełni mógł się przygotować tylko w zaledwie dwa tygodnie.

Stracona szansa

W Rio Gamrot mógł wiele zyskać, okazało się jednak, że nie miał nic do powiedzenia w starciu z o wiele bardziej utytułowanym rywalem. Lokalnego wojownika wspierał z trybun ogłaszający doping kibiców. Mimo to, początek walki był nawet obiecujący dla naszego reprezentanta. Zaczynający swoją przygodę ze sportami walki w Kudowie Zdroju zawodnik wymieniał z rywalem ciosy, a potem od razu ruszył po jego nogę i sprowadził walkę do parteru. W miarę wyrównana walka nie trwała jednak długo. O rok starszy przeciwnik szybko znalazł się w bar-

dzo dobrej pozycji, za plecami Mateusza Gamrota, i mógł założyć skuteczne duszenie, ale te problemy „Gamer” jeszcze przetrwał. W drugiej odsłonie kibice oglądali przede wszystkim wymiany w stojce. Legenda i były mistrz wagi lekkiej UFC zdecydował się w końcu na sprowadzenie Polaka do parteru, a takiej okazji już nie zmarnował. Nie dał szans Gamrotowi, wygrał przez duszenie zza pleców, a Polak zmuszony było do odklepania. Sędziowie ogłosili triumf Oliveiry przed czasem, a na trybunach zapanowała euforia związana ze zwycięstwem rodaka.

Ponad pół miliona złotych dla Gamrota

Dla Polaka był to drugi występ w oktagonie UFC w tym roku. W swoim poprzednim starciu „Gamer” pewnie pokonał Ludovita Kleina. Charles Oliveira wyśrubował natomiast własny rekord największej liczby poddań w historii amerykańskiej organizacji, który aktualnie wynosi siedemnaście. Dla reprezentanta Canarinhos było to 36. zwycięstwo w karierze przy jedenastu porażkach. Gamrot pozostaje z 25 wygranymi. W Rio doznał czwartej porażki w UFC.

Dzięki ewentualnej wygranej Gamrot mógł wejść do elity UFC, ale zabrakło umiejętności. Z Brazylii Polak nie wyjedzie jednak z niczym. Gamer otrzyma od 150 do 175 tys. dolarów (w przeliczeniu ok. 550-640 tys. złotych), co stanowi znaczną sumę w tej branży. Eksperci ocenili pojedynek niemal jednocześnie: - Poza zasięgiem dziś Charles Oliveira. Ech! „Gamer” king bez zmian - napisał w mediach społecznościowych były zawodnik mieszanych sztuk walki Łukasz „Juras” Jurkowski. ©©



Mateusz Gamrot (po prawej) nie miał szans w starciu z Brazylijczykiem Charlesem Oliveirą na gali w Rio

Adam
Godlewski

„Krótka piłka”



NIE KUPUJEMY JUŻ MECZÓW O NIC

Poczwartkowym starciu piłkarskiej reprezentacji Polski z Nową Zelandią trudno oprzeć się refleksji, że czas meczów towarzyskich minął. Kibiców już nie „rajują” spotkania tego typu; nawet przed telewizorami, a nie tylko tych spragnionych wrażeń na trybunach. W efekcie podczas potyczki Białe-Czerwonych z 83. zespołem rankingu FIFA „Kocioł Czarownic” świecił pustkami, a przed ekranami i monitorami zgromadziło się o ponad jedną trzecią mniej widzów niż wówczas, kiedy podopieczni Jana Urbana walczyli we wrześniu o punkty w eliminacjach mistrzostw świata z Finlandią...

Inna sprawa, że nastawienie kibiców nie usprawiedliwia dość

letniego podejścia piłkarzy (skromna wygrana w mizernym stylu) do konfrontacji z Nową Zelandią, podczas której - jak się okazało - szkoleniowiec kadry mógł dokonać w zasadzie jedynie selekcji negatywnej. OK, trudno było liczyć na fajerwerki i rozmach, czy nawet na płynność akcji drużyny, która w takim, jak na Superauto.pl Stadionie Śląskim zestawieniu zagrała dwa razy - to znaczy pierwszy i ostatni - ale oczekiwanie na pokaz indywidualnych umiejętności i jakości aspirantów do wyjściowego składu było jak najbardziej uzasadnione. A nawet usprawiedliwione.

Nie doczekaliśmy się jednak choćby i tego, co stanowiłaby najlepszy dowód, że spotkania

„o pietruszkę” - zwłaszcza te z nisko notowanymi, nieatrakcyjnymi rywalami - odchodzą właśnie do lamusa. Bo też szybciej niż ktokolwiek mógł się spodziewać - w każdym razie niż spodziewałem się ja, a z bliska obserwuję polski futbol już od ponad trzech dekad - przekonaliśmy się do idei Ligi Narodów, w której jest konkretna stawka. To znaczy drużyny narodowe walczą o punkty, trofea, awanse, spadki i... kasę, a dzięki temu temperatura rywalizacji jest o wiele wyższa niż w grach towarzyskich. Nie bez powodu nazywanych już przez selekcjonera nawet nie kontrolnymi, a wręcz sparingowymi.

OK, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że lokalizacja spotkania na chorzowskim gigancie - dodatkowo z trudną dla piłkarzy tego dnia, i generalnie o tej porze roku murawą - także nie pomogła w odbiorze „widowskiego”. Przecież publika nawet na Śląskim gigancie (i to nawet w ostatnich latach, gdy domem reprezentacji stał się PGE Narodowy w Warszawie) była areną znac-

nie bardziej spektakularnych potyczek. Zatem reputacja zespołu z Nowej Zelandii, nawet po jego awansie na amerykański mundial, nie mogła być magnesem. Wydaje się, że z takim przeciwnikiem „w spotkaniu o nic” - i w rezerwowym składzie - lepiej było zmierzyć się w mieście bardziej spragnionym reprezentacyjnej piłki. A przede wszystkim dysponującym mniejszym stadionem, na którym skuteczniej udałoby się wytworzyć atmosferę futbolowego święta.

Zupełnie inna sprawa, że PZPN, planując kolejne potyczki towarzyskie, powinien podejść do zagadnienia w sposób o wiele bardziej... rynkowy. A konkretnie, nie szczędzić grosza - jeśli już Białe-Czerwoni mają grać z rywalem spoza Europy - na ściągnięcie kogoś pokroju Argentyny, Brazylii, czy Urugwaju, na których zakontraktowaniu zwyczajnie nie można stracić. Niezależnie od kosztu sprowadzenia do Polski. Bo akurat przeciwnika z tej półki publika jeszcze kupi. I to nie tylko ta przed telewizorami...

Piłka nożna Trzeci mecz i trzecie zwycięstwo młodzieżowej reprezentacji Polski w eliminacjach Euro 2027

Orlęta rozwijają skrzydła, wspinając się po schodach

Rafał Musioł
r.musiol@dz.com.pl

Polska	2 (2)
Czarnogóra	0

Bramki
1:0 Antoni Kozubal (4),
2:0 Oskar Pietuszewski (23)**Polska** Łubik - Krajewski, Matysik, Drapiński, Gurgul - Kowalczyk, Kozubal (71. Duda) - Pietuszewski (63. Faberski), Urbański (71. Kocaba), Pierko (83. Kuziemka) - Reguła (63. Bogacz).
Trener: Jerzy Brzęczek.**Czarnogóra** Krijestarc - Vuković, Melentijević, Dakić (78. Franeta), Vukotić - Vukanović (63. Juković), Miranović (46. Krivokapić), Bulatović (73) - Radusinović (46. Savović), V. Perišić, Knezević (46. Mirvaljević). Trener: Goran Perisic.**Sędziów** Joonas Jaanovits (Estonia)
Widzów 4.274

Młodzieżowa reprezentacja Polski do meczu z Czarnogorą na Arenie Katowice przystępowała jako lider grupy E eliminacji mistrzostw Europy i - pośred-

nio - igrzysk olimpijskich. Na koncie Orłąt były zwycięstwa nad Północną Macedonią (3:0) i Armenią (4:0), z kolei goście przegrali z Włochami (1:2) i pokonali Szwecję (2:0).

Dzień przed meczem Jerzy Brzęczek został zmuszony do znaczącej zmiany. Sławomir Abramowicz na czwartkowym treningu doznał kontuzji łokcia po zderzeniu z Igozem Drapińskim. W tej sytuacji w bramce Biało-Czerwonych stanął golkeeper Górnika Zabrze Marcel Łubik, posiadający obywatelstwa Polski, Niemiec i Turcji.

Zaczęło się od mocnego uderzenia. Po składowej akcji kapitałnie sprzed pola karnego uderzył Antoni Kozubal i piłka tuż przy słupku wpadła do siatki. Niecałe 20 minut później było już 2:0. Trafienie zaliczył imponujący szybkością i kreatywnością Oskar Pietuszewski przy asyście Tomasza Pieńki.

Goście próbowali złapać kontakt, ale ustępowali Biało-Czerwonym pod każdym względem. Ekipa z Bałkanów, wyraźnie sfrustrowana, zaczęła więc grać



FOT. KARINA TROJOK

Reprezentację młodzieżową wspierali z trybun między innymi kadrowicze Jana Urbana

bez pardonowo, często przekraczając przepisy. Wynikiem tej strategii była czerwona kartka, jaką po uderzeniu Kacpra Dudy zobaczył Andrija Bulatović w drugiej połowie.

- Kartek powinno być więcej. Ze strony Czarnogóry padło sporo ciosów łokciem - ocenił

Brzęczek. - Ale muszę też powiedzieć, że nie wykorzystaliśmy osłabienia przeciwników tak, jak powinniśmy. Dopiero w ostatnich dziesięciu minutach pojawiły się szanse na kolejne gole.

Pewne zwycięstwo Orłąt oglądali z trybun kadrowicze pierwszej reprezentacji, a Ro-

bert Lewandowski najwięcej czasu spędził w towarzystwie Jakuba Błaszczykowskiego.

W tym roku Polaków czekają jeszcze trzy spotkania - na wyjeździe ze Szwecją (14 października) i Macedonią Północną (18 listopada) oraz u siebie z Włochami (14 listopada w Szczecinie).

Kadra U-21 eliminacje zaczęła w świetnym stylu, ale sprzyja jej też terminarz. Schody dopiero się zaczynają. - Podchodzimy z dużą pokorą do dotychczasowych wyników, bo tak się terminarz ułożył, że każdy kolejny przeciwnik jest coraz silniejszy. Wartość drużyny będzie można obiektywnie ocenić po spotkaniach ze Szwecją i Włochami - przyznał selekcjoner. - Na spotkaniu Szwecji z Włochami był nasz człowiek, Bartek Zalewski, który przygotuje dokładną analizę. Ważna będzie też regeneracja przed tym spotkaniem, bo jednak intensywność starcia z Czarnogorą była spora. ©©

EL. MME 2027, GRUPA E**Pozostałe wyniki** Macedonia Płn. - Armenia 2:1 (0:1), Włochy - Szwecja 4:0 (3:0)

1. POLSKA	3	9	9-0
2. Włochy	3	9	7-1
3. Czarnogóra	3	3	3-4
4. Szwecja	3	3	3-6
5. Macedonia Płn.	3	3	2-5
6. Armenia	3	0	1-9

Następne mecze (wtorek, 14.10) Szwecja - POLSKA (g. 18), Czarnogóra - Macedonia Płn. (18), Włochy - Armenia (18.15).

VAR do naprawy. Kto zostanie szefem polskich sędziów?

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl**PIŁKA NOŻNA. Rozmawiamy z Michałem Listkiewiczem, byłym międzynarodowym sędzią piłkarskim, byłym prezesem PZPN.****Od czerwca trwa bezkrólewie, na stanowisku szefa Kolegium Sędziów PZPN. Nie za długo?**

Niepokoi mnie to bardzo i faktycznie trwa za długo. W PZPN są dwie, trzy takie komórki, które trzeba natychmiast obsadzać po wyborze nowych władz związku i jedną z nich jest właśnie sędziowska, oprócz dyscyplinarnej i prowadzenia rozgrywek. Inne mogą poczekać, jak chociażby międzynarodowa, którą kierowałem przez ostatnie cztery lata. Dla autorytetu polskich sędziów musi być ich szef! Jeśli jest tylko pełniący obowiązki, to nie jest najlepsze. Nawet obecnemu p.o. Marciniowi Schulcowi to nie pomaga. Mam nadzieję, że na najbliższym posiedzeniu zarządu wybór zostanie dokonany.

Kto jest pana faworytem do objęcia tej funkcji?

Jest czterech kandydatów, Marcin Szulc, Maciej Wierzbowski, Paweł Sokolnicki i Kamil Wójcik. Ja mam dwóch kandydatów, to Marcin Szulc i Maciej Wierzbowski. Z tej dwójki wybrałbym szefa polskich sędziów. Pozostałych dwóch arbitrów nie znam dobrze. Są świetnymi sędziami asystentami, ale chyba nigdy wcześniej nie zarządzali organizacją sędziowską nawet w swoim mieście, okręgu, czy powiecie. Pełnienie tej funkcji na najwyższym szczeblu nie jest wcale takie proste, o czym sam przekonałem się będąc szefem sędziów w Czechach i Armenii. Warunki pracy są specyficzne, trzeba umieć być jednocześnie dobrym i złym policjantem. Jeżeli wszystko zarządza się batem i karaniem, to jest jak z wychowywaniem dzieci, wtedy wiele na dłuższą metę się nie zdziła. Trzeba umiejętnie zarządzać ludźmi i myśleć o tym, co będzie z sędziami za pięć, czy dziesięć lat. Należy przyglądać się młodzieży, bo Szymon Marciniak nie będzie wieczny.

Postępy czyni chociażby Damian Sylwestrzak.

FOT. JAKUB STEINBORN

Michał Listkiewicz ma swoich dwóch kandydatów do objęcia funkcji szefa polskich sędziów piłkarskich

Rozwija się bardzo dobrze, ale mamy jeszcze kilku innych naprawdę bardzo dobrych sędziów, jak Damian Kos, Łukasz Kuźma, czy Bartosz Frankowski, który po incydencie drogowym i nauczka, którą myślę dostał do końca życia, wraca do dawnej formy. Jest jeszcze stosunkowo młody

i przed nim przyszłość. Mamy naprawdę grupę zdolnych, młodych sędziów.

Ale spada na nich niemal po każdej kolejce, jeśli nie ostra, to jednak krytyka. Z polskim sędziowaniem nie jest tak źle, jak o nim mówią w telewizji, czy internecie.

Rozmawiam z wybitnymi fachowcami z Europy i klasyfikują je między piątym a ósmym miejscem na naszym kontynencie, czyli wysoko. Słyszałem niedawno chociażby wypowiedź trenera Piasta Gliwice, który po jednym z meczów stwierdził, że tak słabego arbitra jak Damian Sylwestrzak nie widział. Bardzo przepraszam, ale ten pan trenował tylko w drugiej lidze w Szwecji. Uważam, że są większe problemy w polskim futbolu niż sędziowanie.

Jakie?

Zbyt duża liczba cudzoziemców, zbyt mała liczba młodych polskich piłkarzy. Panośnienie się menadżerów, którzy czasami wciskają klubom przeciętnych piłkarzy i kasują za to ogromne prowizje.

Wracając do poziomu sędziowania, to analizy VAR często trwają zbyt długo. Sędziowie nie unikają błędów nawet po zobaczeniu powtórek. Zgadza się. Są mecze, gdy kibice czekają nawet pięć minut na decyzję i tak nie powinno być. To są jednak bardziej błędy ludzkie niż techniczne. Polski VAR, od mo-

mentu jego powstania był uważany za jeden z lepszych w Europie. Paweł Gil, który odpowiada za VAR w Polsce dobrze sobie z nim radzi. Trzeba jednak powiedzieć, że do tej pracy potrzebni są ludzie o odpowiednich umiejętnościach, to nie to samo, co praca na boisku. Trzeba szybko podejmować decyzje, tak jak podejmuje je chirurg na stole operacyjnym. Należy natychmiast domagać się ujęcia z innej kamery, a nie oglądać, to co się stało z pozycji widza na kanapie, tak jak ja to robię.

Otwarcie mówi się o przestawieniu systemu i przeniesieniu centrum VAR do siedziby PZPN. Do byłaby dobra decyzja?

To jest konieczne i myślę, że nastąpi już niedługo. Polski Związek Piłki Nożnej od niedawna jest właścicielem całego budynku w Warszawie, w którym ma swoją siedzibę i ma dobre warunki. Do tej pory wszystko rozbijało się właśnie o ich brak. Chodzi o możliwości techniczne, bo trzeba stworzyć między innymi odpowiednie studio. ©©

Bartosz Zmarzlik: Rodzina i team są jak fundament

Kamil Wojdat
kamil.wojdat@polskappress.pl

ŻUŻEL. Rozmawiamy z Bartoszem Zmarzlikiem, który po raz szósty został indywidualnym mistrzem świata.

Za tobą bardzo intensywny sezon, teraz więc zasłużone wakacje. Jak będą wyglądały?
Przed wszystkim planuję spędzić więcej czasu z dziećmi.

Bez wątpienia najważniejszym momentem sezonu 2025 było twój szósty tytuł indywidualnego mistrza świata. Zrównałeś się tym samym z Ivanem Maugerem i Tonym Rickardssonem – twoim idolem z dzieciństwa. Jakie to uczucie być w jednym szeregu z kimś, kogo się podziwiał w młodych latach?
Fajnie! Chciałbym się głębiej w nie wczuć, już po sezonie w domu. Póki co, jeszcze nie mogłem się na tym wszystkim skupić, bo natłok zawodów, nowych wyzwań od razu po tytule, nie pomagał. Myślę, że w czasach dzieciństwa nawet nie marzyłem i nie śni-

łem o tym, że będę miał tyle tytułów.

Przywiązujesz uwagę do statystyk? Fakt, że bijesz kolejne rekordy, napędza cię?
Teraz nie zwracam na to uwagi. Może kiedy będę już starszy, przyjdzie taka refleksja?

Trzy zwycięstwa, pięć drugich miejsc – to jeden z twoich najlepszych sezonów w Grand Prix. A jednocześnie jeden z najtrudniejszych, aby sięgnąć po tytuł, bo finalnie miałeś tylko punkt przewagi nad Bradym Kurtzem.
Nie ma lekkich zawodów na żużlu. Każdy tytuł zdobywany w innych okolicznościach, ale każdy smakuje świetnie. I to jest najważniejsze.

Australijczyk Kurtz wygrał pięć z dziesięciu rund Grand Prix. Po finale w Vojens mówił o tobie, że przegrał z najlepszym zawodnikiem w historii. A jakim rywalem on był dla ciebie?
Brady pojechał naprawdę świetny sezon i rzucił mi wy-



Bartosz Zmarzliki ma dwóch synów - Antka (4,5 roku) i Frania (1,5). Czy też pojadą na żużlu?

zwanie. Duże gratulacje dla niego. Myślę, że zrobiliśmy fajne, emocjonujące widowisko dla ludzi. Widziałem, jak wszyscy żyli tym ostatnim turniejem w Vojens. To było miłe.

Jeśli spojrzymy na poprzednie lata, to nie omijały cię kłopoty w trakcie sezonu,

różne nieprzewidziane sytuacje. Ten był chyba spokojniejszy?
Zdecydowanie był pod tym kątem spokojniejszy i bardzo się z tego cieszę. Oby takich sezonów więcej.

Można popaść w rutynę wygrywania?

Chyba nie ma takiego czegoś. Wygrywanie jest niezwykle trudne i za każdym razem wszystko trzeba robić od nowa, na takim samym skupieniu.

Są sytuacje na torze, po których sam jesteś pełen zdziwu dla swoich umiejętno-

ści? Czy zdarzają się rzeczy, które potrafią cię jeszcze zaskoczyć?

Tak, tak, zaskakują. A czasem sam negatywnie siebie oceniam, staram się wyciągać wnioski i być lepszą wersją samego siebie.

Często podkreślasz rolę swojego teamu, swojej rodziny. Sukces ma wiele składowych, poza talentem i ciężką pracą?
Zdecydowanie. Rodzina i team są jak fundament. Gdy masz podstawę, możesz budować coś więcej.

To oczywiste, że nie zawsze wszystko w sporcie da się wygrać. Reprezentacja Polski, z tobą w składzie, zdobyła „zaledwie” srebro Speedway of Nations. Zwyciężyła Australia. Pojawiło się jakieś rozczarowanie?
Lepiej w Speedway of Nations jeszcze nie było, więc należy się cieszyć. Medal jest medalem. Jako polscy żużlowcy przyzwyczailiśmy do pewnych rzeczy i czasem mam wrażenie, że serbo jest odbierane jako porażka. A ja uważam, że nią nie jest. ©©

Norweski walec Haalanda nie do zatrzymania. Trener Serbów zrezygnował

Jaromir Kruk
redakcja@polskappress.pl

Wielu zawodników by się zalało, ale nie Erling Haaland. Napastnik Manchesteru City na początku spotkania z Izraelem zmarł - i to dwukrotnie - rzutem karnym, ale potem dał koncert.

Po pierwszej próbie Haalanda nasz sędzia Szymon Marciniak nakazał powtórkę. Za jednym i drugim razem kapitalnie interweniował Daniel Peretz. Izraelski golkeeper nie będzie jednak miło wspominał wizyty w Oslo. Goście byli niemiłosiernie wygwizdywani przez kibiców, ulice wokół stadionu Ullevaal zostały zamknięte kilka godzin przed rozpoczęciem meczu, nie funkcjonowały tramwaje i metro, bo związki zawodowe protestowały przeciw przyznaniu wiz na wjazd do Norwegii ekipie Izraela. Do tego doszły manifestacje poparcia dla Palestyny. Goście spotkali się z wrogością, a piłkarze Norwegii nie okazali im litości. Po zmarnowanej podwójnie jedenastce Haalanda prowadzenie gospodarze uzyskali dzięki samobójowi, ale zapracowali na to Alexander Sorloth (dośrodkowanie) i Antonio Nusa (uderzenie głową). Potem jeszcze przyjezdni trafili sami siebie

drugi raz, a hat-tricka skompletował niesamowity Haaland, który może się poszczycić szokującym reprezentacyjnym dorobkiem: 46 spotkań - 51 goli.

Jego ambicja udziela się kolegom, którzy czują się coraz mocniejsi, a w spotkaniu z Izraelem trener Stale Solbakken nie mógł skorzystać z kontuzjowanego kapitana, Martina Odegaarda z Arsenalu. W środku pola dobrze prezentował się Patrick Berg, dobry znajomy polskich klubów z Bodo Glimt. Norwegia znajduje się o krok od powrotu na mundial, na co czeka od 1998 roku. Prowadzi w grupie z kompletem 18 punktów i rewelacyjnym bilansem bramkowym 29-3. Czekają ją jeszcze domowe starcie z Estonią i wyjazdowy rewanż z Włochami, którzy przegrali z Haalandem i spółką pierwszy bój 0:3, a teraz mocno ustępują liderowi grupy w kwestii goli, mając bilans 15-8.

Italia to raczej pewniak do barażów, w których nie zamierzają wystąpić Niemcy tak krytykowani po wrześniowej porażce ze Słowakami w Bratysławie. Podopieczni Juliana Nagelsmanna zostali liderem grupy A po rozbiciu Luksemburga 4:0 (2 gole Joshuy Kimmicha, piątka piłkarzy Bayernu w wyjściowej jedenastce) i porażce Słowacji w Belfaście z Irlandią Północną 0:2.



Czy we wtorek Cristiano Ronaldo wykorzysta szansę na samodzielne prowadzenie w klasyfikacji strzelców MŚ?

Nasi południowi sąsiedzi chyba nie docenili Zielono-Białej Armii, a słaby występ zanotował Martin Dubravka, golkeeper Burnley, wcześniej przez kilka sezonów Newcastle United. Niemcy, Irlandia Północna i Słowacja mają po 6 punktów, a lidera czeka teraz spotkanie w Belfaście.

Prestiżowy, pełen podtekstów mecz z Serbią w Leskovicu (rozegrany tam, nie w Belgradzie ze względów bezpieczeństwa)

rozstrzygnęli na swoją korzyść Albańczycy, a jedyną bramkę zdobył Rey Manaj, piłkarz Al Sharjah, klubu ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, wcześniej między innymi gracz Interu Mediolan i Barcelony B. Bohater Albanii okupił to kontuzją, ale jego drużyna zbliżyła się do baraży. Sytuacja Serbów stała się bardzo trudna, selekcjoner Dragan Stojković był niemiłosiernie krytykowany, a jego team w elimina-

cjach MŚ 2026 zdobył zaledwie 4 gole w 5 spotkaniach, choć dysponuje napastnikami klasy Aleksandara Mitrovicia i Dusana Vlahovicia. Nic zatem dziwnego, że Stojković po porażce z Albanią zrezygnował z posady.

Nie tak dawno Albańczykom punkty urwała Łotwa, która teraz nie potrafiła pokonać na Daugavas Stadions Andory. Pechą miały być piłkarze Birk-Betu Nieciecza i Rakowa Częstochowa, Vladislavs Gutkovskis, któremu VAR cofnął trafienie na 3:1, a niedługo po tym goście wyrównali.

- Byłem 3 centymetry na spalonym. Bardzo szkoda straty punktów - mówi Gutkovskis, niezadowolony z tego, że mało gra w koreańskim Daejeon Hana Citizen (w obecnym sezonie Hana League 18 meczów - 4 gole). Przed podopiecznymi Włocha Paolo Nicolato potyczka z Anglią, która wzbudza bardzo duże zainteresowanie w Rydze.

- Po remisie z Andorą jesteśmy smutni, to się nie powinno zdarzyć, ale trzeba myśleć już o kolejnych spotkaniach - dodaje Andrejs Ciganskis, były piłkarz Widzewa Łódź, obecnie gracz szwajcarskiego FC Luzern. To jest nieudane półroczcie dla łotewskiej piłki, żaden klub nie zakwalifikował się do fazy ligowej europejskich pucharów, a drużyna narodowa rozczarowuje nawet

w roli faworyta. Po zakończeniu eliminacji MŚ 2026 Nicolato może stracić posadę.

Nie takiego występu przeciw Turcji oczekiwał zawodnik Korony Kielce, Viktor Popow, który pokonał swojego golkipera na 1:2, a opuścił plac przy stanie 1:4. Bułgaria ostatecznie uległa na stadionie Vasila Lewskiego Turkom 1:6 i pozbawiła się nadziei na baraże. To nie ta reprezentacja co kiedyś, a o słabej wierze kibiców świadczy frekwencja. Sobotni mecz oglądało nieco ponad 10 tysięcy fanów, z czego ponad połowa gości, podczas gdy stadion pomieści 43 230 osób. W tej grupie rządzi Hiszpanie, którzy tym razem „tylko” 2:0 pokonali Gruzję z Otarem Kakaadze z Cracovii (grał do 80. minuty). Genialny Kvicza Kvaratskeli z Paris SG i jego koledzy zapowiadają wyprawę po komplet punktów do Kocaeli na wtorkowy rewanż z Turcją.

Karnego w meczu z Gruzami nie wykorzystał Ferran Torres, tak samo jak z Irlandią wielki Cristiano Ronaldo, ale Selecao zwycięstwo w doliczonym czasie zapewnił Ruben Neves, zawodnik Al Hilal. Jeśli CR7 trafi we wtorek z Węgrami - pobije rekord goli w eliminacjach MŚ. Obecnie on i Carlos Ruiz z Gwatemali mają po 39 trafień. ©©

Maciej Lampe: Reprezentacja cieszy, ale polski basket wciąż nie wykorzystuje swojej szansy

Rozmawiał
Joachim Przybył

Polska szóstą drużyną na niedawnym Eurobaskecie. Co to mówi o kondycji polskiej koszykówki?
Bardzo się cieszę z tego wyniku. To była jednak spora niespodzianka, w meczach przygotowawczych nie wyglądaliśmy najlepiej. Jestem szczęśliwy z wyniku kadry, ale to nie zmienia problemów, z jakimi mierzy się polski basket. Z jednej strony jest duma z wyniku kadry, a z drugiej świadomość, że młodzi koszykarze wciąż muszą wyjechać z kraju, aby dalej się rozwijać. Sam pamiętam, ile talentów zmarnowało się w moim roczniku, pamiętam obiecujących koszykarzy, o których potem nikt nie usłyszał. Dotyczy to w takim samym stopniu chłopców, jak i dziewcząt.

Dziś mamy Mateusza Ponitkę, Dominika Olejniczaka i Michała Sokołowskiego w topowych ligach Europy. Co zrobić, żebyśmy mieli więcej graczy w mocnych klubach zagranicznych?
Przede wszystkim musimy dawać im szansę w I i II lidze. Mam wielki szacunek dla 35-latków, którzy wciąż grają i zdobywają wiele punktów w niższych ligach, ale to nie oni są naszą perspektywą. Właśnie tam powinien być maksymalny nacisk na grę młodych zawodników, także nastolatków. Uważam, że wielkim błędem jest brak obowiązku gry Polaka na boisku PLK, przez to kolejna grupa koszykarzy wypchnie z boiska młodych w niższych ligach. Poszerzyłbym ten obowiązek do dwóch graczy i jeszcze z maksymalnym limitem wiekowym.

Czy Mateusz Ponitka to najlepszy polski koszykarz w historii?
Mateusz na pewno jest jednym z najlepszych koszykarzy w historii, ma na koncie mnóstwo świetnych meczów na Eurobaskecie, doskonale wywiązuje się z roli lidera. Cieszę się z tego, co daje reprezentacji. Myślę, że mógłby zaistnieć w NBA, ale tam nie wystarczy sam talent, to kwestia sytuacji, szczęścia, ale też trzeba umieć to szczęście dla siebie znaleźć, wiele także zależy od agenta. To wcale nie musi być jeszcze zamknięty te-



Pod koniec kariery Maciej Lampe rozegrał jedyne osiem meczów w PLK w barwach Kinga Szczecin...

mat, Mateusz jest zawodnikiem wszechstronnym w defensywie i ofensywie.

Powtarzasz często, że polska koszykówka nie ma swojej identyfikacji. Co to znaczy?
Jak patrzysz na hiszpańską drużynę czy grecką, to grają swoją własną koszykówkę, każdy klasowy zespół ma swój styl, który wypracował przez lata, praktycznie w każdej kategorii wiekowej wygląda to podobnie. Możesz ubrać ich w neutralne stroje, ale i tak rozpoznasz zespół po stylu gry. U nas wciąż brakuje takiego systemu, zmieniamy trenerów, zmieniamy też styl gry. Dlatego cieszymy się, gdy trafi nam się dobry rocznik, odnosi sukcesy, ale brakuje w tym konsekwencji i stałości. Więc cieszymy się z wyniku na Eurobaskecie, ale chciałbym, aby za 10 lat polska koszykówka wypracowała swój własny styl.

Jak budować taką identyfikację, gdy trener dzieciaków w mieście dostaje 500 lub 1000 zł miesięcznie za pracę po godzinach?
Przecież po mistrzostwach świata w Chinach wpłynęło dużo pieniędzy do Polskiego Związku Koszykówki. Każda drużyna miała po dziesięć samochodów, prawda? Ile z tych zysków przeznaczono na inwestycję w młodzież i szkolenie, ile w stworzenie ścieżki rozwoju dla młodych talentów? Wystarczy spojrzeć

na mecze w II lidze, utalentowany 15-latek dostanie 5 minut na parkiecie, a jego miejsce zajmują 35-latkowie. Kolejną kwestią jest szkolenie własnych trenerów. W listopadzie organizuję klinikę dla trenerów, musimy nie tylko się uczyć, ale rozmawiać, wymieniać poglądy i doświadczenia.

Takim wyrzutem sumienia polskiego systemu szkolenia wciąż jest Marcin Gortat?
Pamiętam Marcina w kadrze kadetów, wyśmiewano go wręcz, że nie umie grać w koszykówkę. Tymczasem ja patrzyłem na niego i myślałem, że on naprawdę mógłby nam pomóc. Miał szczęście, wyjechał do Niemiec, tam trafił na odpowiednich ludzi, ale wielu chłopaków z tego rocznika takiego szczęścia już nie miało. Bez wielu dobrze przygotowanych trenerów, bez systemu szkolenia i ścieżek rozwoju taki nowy Marcin Gortat znowu u nas nie będzie miał szans.

To dlatego teraz organizujesz w Polsce turnieje Lampe Challenge 2x2. Dlaczego właśnie taka formuła?
Koszykówka 2x2 pozwala łatwiej wyszlifować techniczne elementy gry. Moja fundacja w Polsce nie będzie się zresztą koncentrować jedynie na koszykówce, planujemy też turnieje 5x5 w piłce nożnej dziewczyn mieszanych dziewcząt i chłopców, do tego tenis sto-

łowy, który poprawia koordynację ręki z okiem. Staramy się wyciągać dzieci z takiej codzienności sportowej, uczyć ich komunikacji i współpracy, które potem przydaje się nie tylko w sportowym w życiu.

To wynika z twoich doświadczeń? W Szwecji grałeś w hokeja, piłkę nożną, wiosłowałeś, a trafiłeś do koszykówki, która w tym kraju była wówczas niszowym sportem.
Wiem jak bardzo to pomaga. Hokej i piłka dały mi silne nogi, wiosła ręce i plecy, tenis stołowy refleks i koordynację, to wszystko mnie przygotowywało do zawodowej kariery w баскетcie. A dlaczego koszykówka... wtedy akurat trwała wojna w byłej Jugosławii, do Szwecji przyjechało wiele rodzin z Bałkanów i przywieźli ze sobą wysoką kulturę koszykarską. Trafiłem do zespołu juniorów, który przez dwa lata nie przegrał meczu.

W Szwecji do dziś jesteś traktowany jako pierwszy NBA, który dostał się do NBA. To jednak w reprezentacji Polski zostałeś dostrzeżony przez Real Madryt.
Miałem propozycję gry w reprezentacji Szwecji, chciałem grać jednak w kraju z koszykówką na wyższym poziomie, a taki był w Polsce. Pierwszy turniej zagrałem w drużynie z Łodzi. Trafiłem do reprezentacji kadetów, która na jednym z turniejów ogłosiła m.in. Hiszpanię. Wtedy zostałem zauważony i to otworzyło mi drogę do Realu Madryt.

„Niczego się nie bałem” - powiedziałeś w jednym z wywiadów. Trzeba być w sporcie bezczelnym?
W czasie mojej kariery wiele osób mówiło mi, że ta moja pewność siebie to zaleta. Faktycznie, nie miałem zahamowań nawet w szatni Realu Madryt. Wychowywałem się w Szwecji, gdzie na osiedlu mieszkali ludzie z różnych części Europy, Afryki, Azji. Była duża różnorodność kulturowa, każdy miał swoją tożsamość. W Polsce przyjeżdżałem do babci do Łodzi i na osiedlu bywały problemy z czapką, musiałem się czasami bić o swoje. Na pewno pomógł mi fakt, że dwie reprezentacje mnie chciały, to dodało mi takiej pewności. W wieku 16 lat trenowałem w Realu z Tabakiem, Herrero, Djordjevićem,

czyli wielkimi legendami swoich czasów.

W wieku 18 lat byłeś blisko NBA, ale New York Knicks zrezygnowali z Ciebie z przyczyn zdrowotnych.
Byłem bardzo młody, a to był zespół weteranów. Ważyłem wówczas 138 kg, za dużo ciężarów dźwigałem na treningach i pojawiły się przeciążenia. Inna sprawa, że głowa jeszcze nie była na to gotowa. Pierwszy raz miałem trochę pieniędzy w kieszeni, stałem się rozpoznawalny, mieszkalem sam, wychodziłem w miasto.

Trafiłeś w końcu do Phoenix Suns, zadebiutowałeś w NBA, ale już w wieku 21 lat zakończyłeś karierę za oceanem. Dlaczego nie wyszło?
Pojechałem do USA jako bardzo młody człowiek i to była dla mnie twarda szkoła koszykarska. Miałem później opcję kontraktu za najniższe stawki, ale chciałem po prostu grać. Miałem 21 lat, czułem, że wiele już potrafię i chciałem to pokazać na parkiecie. Dlatego wybrałem Rosję.

Dziś spojrzysz na swoją karierę i powiesz: wszystko mi się udało?
Uważam, że odniosłem ogromny sukces, wybiłem się ze Szwecji do najlepszej ligi świata. Grałem w Caja Laboral, Barcelonie, Realu Madryt, byłem najlepszym zawodnikiem ligi rosyjskiej, miałem okazję oddać rzut na mistrzostwo dla Barcelony. Przecierałem koszykarskie szlaki w Chinach, w moim pierwszym sezonie był jeszcze tylko jeden Europejczyk, w kolejnym sezonie już ośmiu. Żadnej decyzji dziś nie żałuję.

A reprezentacja? Nie masz niedosytu? Były rezygnacje z gry wcoszynej i dość przykre rozstanie na koniec.
Szkoda mi jedynie stylu zakończenia kariery w kadrze. Olali mnie kompletnie. Miałem kontuzję ręki, przez którą nie wystąpiłem na mistrzostwach świata. Miałoby być cicho na ten temat, bo mógłbym stracić kontrakt w Chinach. A potem Radosław Piesiewicz publicznie powiedział, że chciałem nie wiadomo jakich pieniędzy za grę, to była nieprawda. Nikt mi nie podziękował za lata gry w kadrze, żadnego zegarka za awans na mistrzostwa świata, żadnej pa-

miątki. Nie jestem jedynym zawodnikiem, który tak został potraktowany. To nie była dla mnie łatwa sytuacja, ale dzięki niej także stałem się silniejszy.

W jednym z wywiadów powiedziałeś, że nie szanujesz pieniędzy. Lubisz je wydawać?
Zarobiłem w życiu dużo pieniędzy, ale też wydałem bardzo wiele. Tutaj też trzeba być mądrym, trzeba uczyć sportowców inwestycji, nigdy nie wiadomo kiedy kariera się skończy, ja od początku inwestowałem w nieruchomości. Pieniądze są ważne, ale nie mogą być najważniejsze. Swój pierwszy kontrakt w Rosji podpisałem na 9 mln dolarów za trzy lata. Mogłem sobie dłużyć w nosie, siedzieć na ławce i kasować za nic, ale zdecydowałem się na wyjazd do Izraela, bo chciałem grać i nadal się rozwijać. Dopiero później wróciłem do Rosji, z Kazaniem wygraliśmy Eurocup. Czasami lepiej powiedzieć: „nie” pieniądzom, to da więcej zysków.

Po zakończeniu kariery spisałeś cele na resztę życia. Jakie konkretnie one są?
Po swoim ostatnim meczu wyjechałem do Azji i przez dwa lata nic nie robiłem. W końcu jednak stwierdziłem, że nie chcę tak spędzić reszty życia, usiadłem i faktycznie na kartce spisałem, co chciałbym robić. Dziś najważniejszym moim celem jest to, żeby trzech moich synków znalazło swoją pasję, to klucz do poczucia, że wygrało się w życiu. Chcę rozwijać Lampe 2x2 Challenge, kliniki trenerskie w Polsce. Chcę dalej rozwijać się trenersko, nie ukrywam, że marzę, aby w przyszłości poprowadzić reprezentację Polski. Rozmawiałem już z Sergio Scariolo, to on przed laty dał mi szansę w Realu, teraz wrócił do Madrytu i dostałem zgodę, aby oglądać jego treningi. To będzie dla mnie wielka szansa, a niewykluczone, że w kolejnym sezonie znajdzie się dla mnie miejsce w jego sztabie.

MACIEJ LAMPE
Pochodzi z Łodzi, ale w wieku 5 lat zamieszkał z rodzicami w Szwecji. Gdy miał 16 lat został ściągnięty przez Real Madryt i został najmłodszym koszykarzem w historii hiszpańskiego klubu, który zadebiutował w Eurolidze; miał wówczas 16 lat i 360 dni. Jego rekord pobił dopiero później Luka Dončić. Potem grał w najmocniejszych ligach w Europie, zdobył m.in. mistrzostwo Hiszpanii z Barceloną.

Galowa premiera filmu „Kto wygrał mecz.” za nami!

Lubicie dokumenty, które zapewniają ogrom emocji już od pierwszych minut? Jeżeli tak, to doskonale trafiliście! Poznajcie szczegóły produkcji.

„Kto wygrał mecz.” to godzinna wycieczka do świata amp futbolu, czyli dyscypliny, w której w piłkę nożną grają osoby pozbawione jednej kończyny. Czasem w wyniku amputacji, czasem wrodzonej wady. Zasady gry są proste - zawodnicy bądź zawodniczki w polu nie mają jednej nogi, natomiast osoby na bramce nie mają ręki.

Reżyser Filip Adamus zabral widzów w podróż do Kolumbii, gdzie rozegrały się pierwsze w historii mistrzostwa świata kobiet w amp futbolu. Polskę reprezentowały niepokonane dotąd zawodniczki, które na miejscu musiały zmierzyć się nie tylko ze zdolnymi i groźnymi rywalkami, ale także z... klimatem! Łatwo nie było, ale skończyło się wielkim sukcesem - nasze reprezentantki wróciły do Polski z brązowym medalem! Anna Płodzik, Emilia Spunda, Alicja Sowińska, Justyna Bzdela, Monika Kukła, Daria Majkowska, Aleksandra Matczak, Weronika Nowotny, Marta Oblas, Jolanta Ożga, Aleksandra Plucienik, Anna Raniewicz, Marta Rumińska - to skład, z którego możemy być dumni!

„Kto wygrał mecz.” pokazuje kulisy kobiecych mistrzostw świata w amp futbolu, jednak nie jest to film wyłącznie o sporcie. Wręcz można zaryzykować stwier-



dzenie, że amp futbol jest tutaj jedynie pewnym kluczem do opowiedzenia historii o sile kobiet, ich niesamowitej determinacji i walce z własnymi słabościami. Na ekranie obserwujemy dziewczyny, które zwyczajnie mogą na siebie liczyć. Napędzają się wzajemnie i chociaż same dalekie są od stwier-

dzenia, że są inspiracją dla innych, to śmiało można właśnie tak je nazwać. To też opowieść o normalności; niepełnosprawność nie tylko nie wyklucza, ale brak kończyny nie sprawia, że człowiek zostaje odarty z normalności. To tylko pewna niedogodność, z którą bohaterki filmu poradziły sobie wzorowo.

Nasze reprezentantki w amp futbolu zachwycają na ekranie swoją energią. Ich dystans, luz oraz podejście do życia sprawiają, że trudno nie oglądać filmu z uśmiechem na ustach. Co najważniejsze, bohaterki mocno zaufały twórcom filmu i się otworzyły, opowiadając własne, często nietłumakowalne historie. To moment, gdzie łatwo się wzruszyć. Zresztą mocnych scen tutaj nie brakuje, jak chociażby w sekwencji, gdzie zawodniczki opowiadają o tym, że publiczne zdjęcie protezy jest niczym obnażenie się. Czysty autentyzm.

Sportowe emocje wylewają się z ekranu litrami. Już sam przebieg mundialu zapewnił ogrom dramaturgii, ale całość jest tak zmontowana, że boiskowe starcia zawodniczek w białoczerwonych barwach ogląda się z wypiekami na twarzy, trzymając kciuki za kolejne strzelone gole. Jest tutaj dynamika, jest energia, kawał wielkiego widowiska!

Świetnie patrzy się na zdjęcia, których autorem jest Piotr Zgoła. Maluje nam na ekranie Kolumbię jako kraj kontrastów; z jednej strony

reprezentacji kobiet w amp futbolu, to pomyślałem, że jeżeli jesteś kobietą, nie masz nogi, to ostatnią rzeczą, którą jesteś w stanie sobie pomyśleć, jest granie w piłkę, w reprezentacji Polski, na mistrzostwach świata w Kolumbii. Zabrzmiało to tak abstrakcyjnie, że pomyślałem, iż jest to przemocna historia. Później się okazało, że tych tematów w tej głębokiej, wielowymiarowej opowieści, jest mnóstwo. Dla mnie temat wyjścia bez protezy był bardzo zaskakujący. Nigdy wcześniej nie pomyślałem, że dziewczyny nigdy nie chciały być postrzegane jako te bez nogi, a tutaj nagle musisz wyjść na boisko, w świetle jupiterów, przy kibicach czy w oku kamery i grać w piłkę. A większość dziewczyn nie grała nigdy w piłkę w przeszłości. Ile tu jest rzeczy do przełamania sobie w głowie i ile jest tutaj jednocześnie inspiracji dla nas wszystkich”.

„Kto wygrał mecz.” film, którego ORLEN jest mecenasem, to kawał trzymającego w napięciu i przepełnionego emocjami kina, które niesie ze sobą mądrość i jest szalenie pozytywne. W historiach dziewczyn jest siła, z której aż chce się czerpać garściami. Przekonają się o tym niedługo widzowie, bowiem telewizyjna premiera filmu odbędzie się 11 listopada na antenie Telewizji Polskiej.



MAGAZYN

SPORTOWY24

13.10.2025

Medalista olimpijski Rafał Majka zakończył sportową karierę. - Jazda z nim była zaszczytem - podsumował mistrz świata Tadej Pogacar STR. 19



FOT. MARCO BERTORELLO/AFP/EAST NEWS

Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść

BARTOSZ ZMARZLIK:
RODZINA I TEAM
TO NAJLEPSZY
FUNDAMENT
STR. 21

Maciej Lampe: Kadra
cieszy, ale polski
basket nadal nie
wykorzystuje szansy
STR. 22

Michał Listkiewicz:
VAR jest do naprawy,
ale polscy sędziowie są
lepsi, niż... uważamy
STR. 20

SPORTOWY24.PL